

Krzysztof Łoziński

Sześć razy na minutę



Opowieść o ratowaniu ludzi w górach

Sześć razy na minutę

Wydanie pierwsze

Copyright by Krzysztof Łoziński 2023

Zdjęcie na okładce KŁ.

Pochyłam się nad twarzą dziewczyny, przytykam wargi do jej ust. Usta są sine i leci z nich krew. To nie pocałunek, to pompowanie powietrza w płuca umierającej kobiety.

Mam 17 lat, byłem na polu namiotowym przy Hali Gąsienicowej. Poderwała nas informacja o wypadku w Pańszczycy. Dobiegliśmy pierwsi, bo byliśmy najbliżej. GOPR jedzie samochodem z Zakopanego, drogą od Brzeziny. Dziewczyna spadła z Orlej Perci do Doliny Pańszczycy. Podobno jeden dowcipniś rzucił w nią śnieżką z jakiegoś płotka letniego śniegu i uskokczyła, straciła równowagę i poleciała, ok. sto metrów upadku. Wypadek nie mógł się zdarzyć w gorszym miejscu. Zewsząd daleko. Wtedy, w latach 60., nie mieliśmy w górach radiotelefonów, a telefony komórkowe miano wynaleźć za prawie 40 lat. Uczestnicy wycieczki musieli dojść do Krzyżnego i do Pięciu Stawów, by powiadomić o wypadku. To byli turyści, zejść z grani do Pańszczycy nie umieli. Szybko zbiegać po turystycznych szlakach też nie umieli. Minęło sporo czasu.

Czuję, że słabnę. Trzydzieści uciśnień, dwa oddechy, trzydzieści uciśnień, dwa oddechy... Reanimacja to, poza innymi „atrakcjami”, spory wysiłek.

- Niech mnie ktoś zmieni – mówię, ale nikt się nie rusza.

Fajnie się opowiada dziewczynom: „byłem na akcji ratunkowej”. Ratownicy górscy są otoczeni aureolą, jak ułani i kosynierzy. Fajny szpan, ale przyłożyć usta do krwi i patrzeć z bliska w zapadające się oczy umierającego człowieka, to co innego, to nie takie łatwe.

Jeszcze chwila i jest Tadek Figus, ratownik z Murowańca. Zmienił mnie. Koledzy stoją. Dochodzi GOPR. Lekarz stwierdza zgon.

Znosimy ciało w bambusie. To moja druga akcja. Pierwsza była prosta – sprowadzenie ze Świnicy turystów, którzy utknęli po zmroku, bo nie mieli latarki.

Sześć razy na minutę to górski sygnał wezwania pomocy. Sześć okrzyków „na pomoc” lub błysków latarki, minuta przerwy i znowu. Dziś jest łatwiej. Są telefony komórkowe i dobre radiotelefony o dużym zasięgu. Ale w górach z łącznością jest różnie. Nie wszędzie jest zasięg, więc ten sygnał obowiązuje do dziś.

Wspinałem się 50 lat. Nie miałem żadnego wspinaczkowego wypadku. Nigdy nie wzywałem pomocy dla siebie nikt mi pomocy nie udzielał. Jedyny uraz, jakiego doznałem w górach, to zwichnięcie nogi, ale nie na wspinaczce, tylko w potoku. Udało się nastawić o własnych siłach. Owszem, zdarzyło mi się kilka poważnych lotów, po 10-20 metrów, ale w powietrzu, zawisłem na linie nie uderzywszy w nic. Zaliczyłem też poważny lot z lawiną, ok. 300 metrów, ale też nic mi się nie stało.

Alpinizm nie jest „samobójstwem”, „kapliczką straceńców”, nic z tych rzeczy. Znacznie częściej ulegają wypadkom w górach turyści i narciarze. Wypadki taternicze są natomiast bardziej sensacyjne dla mediów i każdy jest omawiany w każdej telewizji. Setki połamanych motocyklistów, narciarzy, przejechanych rowerzystów, utopionych pływaków amatorów, to żadna sensacja. O tym, mówi się rzadko. Jeśli „znowu słyszymy o wypadku w górach”, to pamiętajmy, że mowa o niemal wszystkich wypadkach we wszystkich górach z całego świata. Pamiętajmy, że tylko polscy alpiniści to bardzo duża grupa ludzi.

Tym razem zamierzam opowiedzieć o kilku akcjach ratunkowych, w których brali udział alpinści (bez zawodowych ratowników), albo ratownicy z dużym udziałem alpinistów.

Wielki Mięguszowiecki 1971

Mam 23 lata

Wspinamy się zimą na najdłuższej drodze taternickiej Tatr Polskich, na Północnym Filarze Mięguszowieckiego Szczytu Wielkiego. Droga autorstwa Tadeusza Orłowskiego i Wawrzyńca Żuławskiego, według wyceny, nie jest specjalnie trudna. Zaledwie IV-V, duże partie zupełnie łatwego terenu. Ale to, co jest łatwe latem, nie koniecznie jest łatwe zimą. Droga ma 880 metrów przewyższenia i ok. 1300 metrów długości. Zimą droga miała wcześniej tylko jedno przejście jednodniowe – Czesław Momatiuk i Józef Nyka w 1961 roku.

Moim partnerem jest Krzysztof Dubilis. Przez dolne partie drogi przechodzimy bardzo szybko. Wieczorem jesteśmy pod kopułą szczytową i zakładamy biwak. Wszystko wygląda optymistycznie. Mamy płachtę biwakową i kurtki puchowe. Podgrzewamy na „Juvlu” puszkę soku pomarańczowego, zjadamy na pół puszkę mielonki. Biwak jest wygodny i noc spokojna. Mamy szansę na bardzo dobry czas przejścia. Doszliśmy pierwszego dnia wyżej, niż wszystkie inne zespoły tej zimy, nawet zespół gwiazd: Andrzej Skłodowski i Janusz Kurczab.

Rano wsuwamy po paczce herbatników i do góry! Około dziewiątej rano jesteśmy zaledwie dwa wyciągi od szczytu. I w tym momencie prowadzący akurat ten ostatni trudny, trzeci od góry wyciąg, Krzysiek Dubilis, poleciał. Widziałem, jak staje na czymś, co wyglądało jak duży stopień pokryty śniegiem, ale niestety okazało się być nawisem śnieżnym przyklejonym do skały. Nawis urywa się i Krzysiek leci około 30 metrów wyrwijąc dwa przeloty. Po drodze dwa razy uderza o skały. Zawisa na linie jakieś dwa, może trzy metry pod moim stanowiskiem.

Szarpnięcie było potężne. Jeden z haków stanowiskowych, tyżka, pęka. Zostaje tylko jeden stary klincał zostawiony tu pewnie jeszcze przez pradziadów (dawno już nie używa się takich haków). Szarpnięcie rzuciło mnie na skałę. Mocno uderzyłem lewym bokiem, barkiem i biodrem, ale nic mi nie jest. Boli, ale mogę się ruszać. Po powrocie stwierdziłem tylko dwa wielkie siniaki.

Sytuacja jest poważna. Zablokowałem linę i mam swobodę ruchu, ale Krzysiek wisi poniżej stanowiskowej półki i jęczy z bólu. Dobijam dwa dodatkowe haki. Teraz muszę jakimś cudem wciągnąć go na półkę. To nie takie proste. Teren uniemożliwia założenie fachowego flaszencugu. Wymyśliłem taki patent: zakładam na linę jumara połączoną długą pętlą ze stanowiskiem. Wiem, że choć jestem bardzo silnym fizycznie człowiekiem, to wyciągnięcie partnera rękami za linę jest niemożliwe. Chwyć za cienką linę, opór na krawędzi półki i ponad 60 kilogramów wagi partnera. To się nie da zrobić.

Pomysł jest taki: zakładam drugiego jumara wyżej niż pierwszy, krótszą pętlę przez plecy i ramię, kucam pod liną i wstaję. Taki przysiad z dużym ciężarem, jak na treningu ze sztangą. Ale działa. Unoszę partnera jakieś 30 centymetrów i blokuję go na dolnym jumarze. Powtarzam to ok. dziesięć razy i w końcu mogę już wciągnąć go na półkę za ubranie. Ogromny wysiłek, ale udało się.

Staramy się ustalić jakie ma obrażenia. Wyraźnych złamań nie widać, ale czy nie ma potłamanych żeber albo obrażeń wewnętrznych nie wiadomo. Nie jest w stanie stać o własnych siłach.

Musimy radzić sobie sami. Jest dopiero nieco po dziewiątej rano. Nie mamy jak wezwać pomocy. Wołanie z tej odległości nie ma sensu. Do schroniska w linii prostej jest prawie dwa kilometry. Bliżej nikogo nie ma. Latem na szlakach są turyści, ale nie zimą. Czekanie do zmroku wykluczone. Stan rannego będzie się pogarszał.

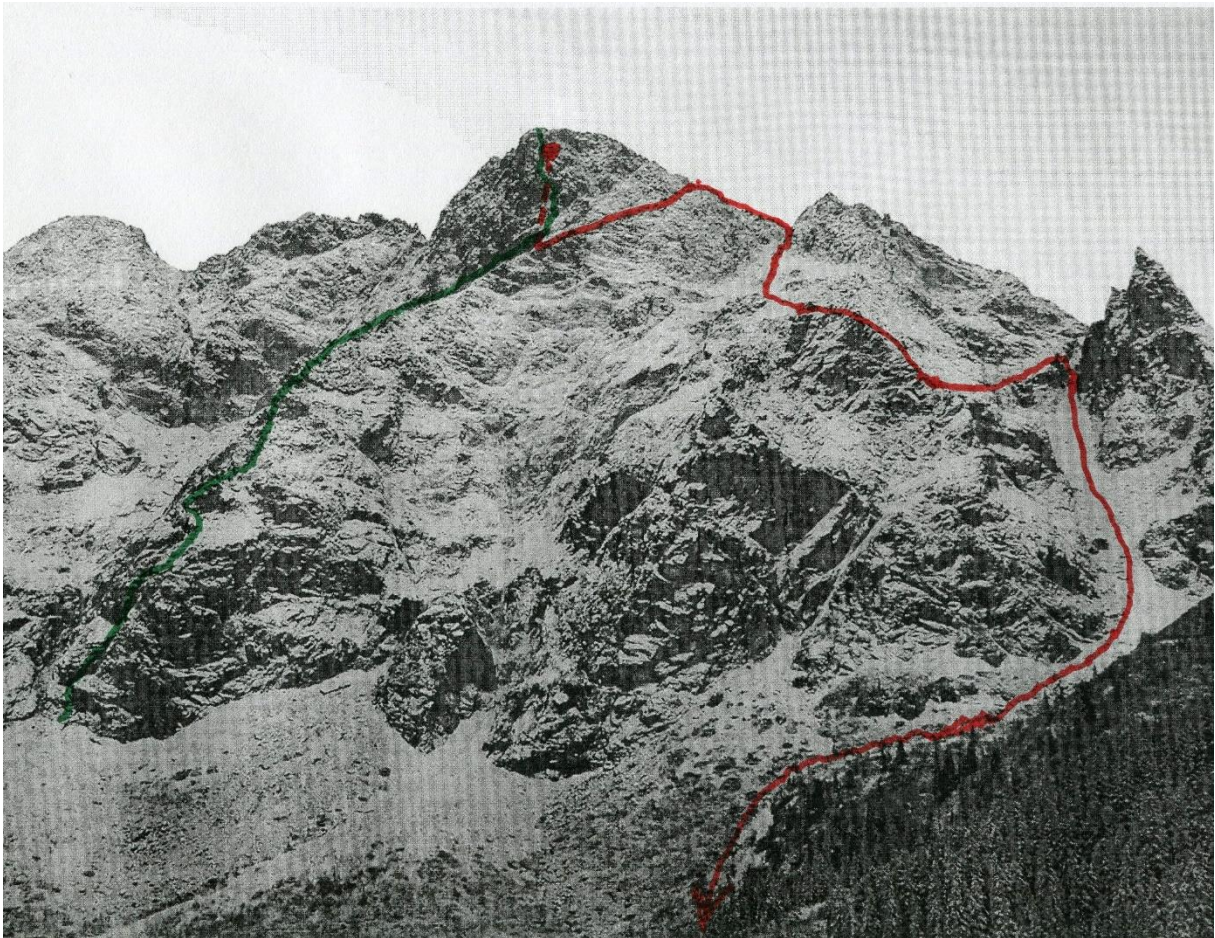
Opuszczam Krzyśka na linie do miejsca, gdzie może siedzieć lub leżeć i nie obciążać liny. Pytam, czy się nie obsunie. Mówi, że nie, ale nie jest w stanie założyć stanowiska. Zjeżdżam do niego, zakładam stanowisko, ściągam linę i powtarzam całą operację. Krzysiek, mimo silnego bólu, pomaga mi tyle, ile może. Pytam, gdzie go boli.

- Właściwie wszędzie - mówi.

Około południa dostajemy się pod kopułę szczytową. Opuszczanie dalej nie ma sensu. Do podstawy ściany jest jakieś 700 metrów różnicy wysokości. Jesteśmy na dolnym z dwóch zachodów prowadzących pod kopułę szczytową w prawo do grani lub w lewo do Bandziocha. Tylko Bandzioch (Wielki Kocioł Mięguszwiecki) to lawinowe pole minowe. Śmierć w oczach.

Planowałem zabezpieczyć tu Krzyśka i samemu iść po pomoc, ale nagle widzę dwie postacie wyłaniające się z północnej ściany Mięgusza. To Michał Wroczyński i Witek Fedorowicz, którzy przeszli większość północnej ściany i wyszli na siodło w filarze. Wołam do nich i idą w moim kierunku.

Szybko ustalamy plan działania. Musimy przeprowadzić rannego zachodem na grań, stamtąd do Hińczowej Przełęczy i przez Galerie Cubryńskie do Mnichowego Żlebu, którym opuścimy go nad Morskie Oko. Tylko to wszystko jest cholernie daleko.



Mięguszwiecki Szczyt Wielki od północy. Droga Tadeusza Orłowskiego i Wawrzyńca Żuławskiego Północnym Filarem (linia zielona). Miejsce wypadku (czerwony punkt), linia zjazdów i transportu rannego (linia czerwona). Fot. Archiwum autora.

Jeden z nas cały czas podtrzymuje Kryśka, który musi wykrzesać z siebie resztkę sił i przejść z naszą pomocą ok. dwustu metrów i nieco pod górę. Jeden go podiera i pomaga, dwaj na końcach liny asekurowają. Sprawę komplikuje to, że jeszcze w czasie wspinaczki Krzysiek zgubił czekanomłotek. Zostaliśmy z jednym czekanem i jednym młotkiem. Gdy szliśmy do góry, dawaliśmy sobie radę. Przekazywaliśmy sobie sprzęt. Prowadzący miał czekan i młotek, a długi linę z góry i jakoś to szło, ale teraz brak jednego czekana bardzo nam utrudnia zadanie. Ranny Krzysztof jest cały czas przez nas ubezpieczony, ale my trzej prawie cały czas jesteśmy bez asekuracji na bardzo stromym i osypującym

się śniegu nad 700 metrowym luftem. Śnieg jest typu „cukier”. Nie ma żadnej spójności.

Najtrudniej jest pod koniec zachodu, gdy trzeba podejść na grań jakieś dwadzieścia metrów prosto w górę. Michał podpycha Krzyśka. Ja stoję na grani i ciągnę za linę z całej siły. Na grani istny wygwizdów. Jest siarczasty mróz i dość silny wiatr. Gdy Krzysztof wreszcie dociera na grań jestem niemal sztywny z zimna. Jest ponad 20 stopni mrozu i wiatr.



Kopuła szczytowa Mięgusza. Widać dwa zachody biegnące nieco w górę i w prawo u jej podstawy.
Fot. Barbara Zygmańska.

Po południowej stronie grani docieramy do Hińczowej Przełęczy. Robimy coś w rodzaju toboganu z płachty biwakowej i naszych kurtek puchowych. Ranny musi mieć ciepło a my możemy co najwyżej dygotać. Robi się ciemno i zaczynam dawać latarkę sygnały sześć razy na minutę, ale nie widzę odzewu.

Szybko opuszczamy go żlebem na Wielką Galerię Cubryńską. Tu niestety stromizna jest niewielka i musimy ten nasz pseudo tobogan ciągnąć. Ja oprócz własnego plecaka mam jeszcze plecak Krzyśka, a za plecak wetknięty zbędny na płaskim czekan, który uwiera mnie w plecy jak cholera. Przez Małą Galerię docieramy do Mnichowego Żlebu. Tu znowu opuszczanie w stromym terenie, ale mamy to już przećwiczone. Chłopcy obsługują stanowisko, a ja rannego.

Docieramy do Hali pod Mnichem. Tu znowu płasko, znowu ciągniemy. I ostatnie opuszczanie nad Morskie Oko. Na tafli zamrożonego stawu stoi cały tłumek ludzi, ale nikt nie podszedł nawet metra do góry.

- Macie tobogan? – pytam.

- Nie

- To co wy tu kurwa robicie! – wybucham.

Na szczęście mają radiotelefon. Za dziesięć minut jest tobogan. Nasza rola skończona. Pytam, która godzina.

- Dwudziesta trzecia.

Nasza akcja trwała od wypadku 14 godzin. Wlokę się do schroniska niemal na miękkich nogach. Podjeżdża karetka z Zakopanego.

Następnego dnia pytam o dziwne zachowanie kolegów z dołu. Czemu nam do cholery nie pomogli? Okazuje się, że wszystko widzieli tylko źle interpretowali. Widzieli przez lornetkę nasz wycof z kopuły szczytowej, ale nikomu nie przyszło do głowy, że coś nie tak. Uznali, że po prostu wycofujemy się zjazdami. Czemu nikt nie skojarzył, że nikt zdrowy i cały nie wycofuje się zjazdami będąc kilkadziesiąt metrów od szczytu. Dalszy nasz odwrót interpretowali tak, że po prostu schodzimy. To fakt, że z tej odległości nawet przez lornetkę niewiele widać. Ale czemu nikt nie ruszył tyłka do góry, gdy dawałem sygnały latarką? Jakoś nikt mi nie dał przekonującej odpowiedzi.

Kazalnica 1972

Mam 24 lata.

Północna ściana Kazalnicy ma 600 metrów wysokości i jest bezdyskusyjnie najtrudniejszą ścianą Tatr Polskich. Akcje ratunkowe w tej ścianie są zawsze niezwykle trudne.

Jest lato, sierpień. Na drodze Łapińskiego i Paszuchy wspinają się dwa zespoły, jeden nad drugim. To już jest błąd. Nie powinno się wchodzić w ścianę, jeśli na naszej drodze już ktoś jest. Niestety jest to błąd dosyć częsty.

Pierwszy zespół, Zbigniew Grabowski i Henryk Walkowiak, jest już w połowie wysokości ściany, na tak zwanej „Ścianie Problemowej”, czyli na najtrudniejszym wyciągu drogi. Drugi zespół, dwaj bracia Jurek i Staszek Bajorkowie, znajdują się w szerokim, kruchym, kominie wyprowadzającym właśnie pod ową „Ściankę Problemową”. W pewnym momencie prowadzący z pierwszego zespołu niechcący strąca kamień, który spadając trafia w prowadzącego Staszka. Staszek spada i zawisa na linie poniżej stanowiska Jurka. Kamień, który go uderzył, odbił się i uderzył także w Jurka, łamiąc mu nogę. Staszek wisi na linie nieprzytomny. Poleciał ok. 60 metrów.

Chłopcy z pierwszego zespołu zjeżdżają do nich i zabezpieczają rannego Jurka oraz Staszka. Stwierdzają, że Staszek nie żyje. Więcej sami zrobić nie mogą.

Szczęściem w nieszczęściu jest przypadkowa obecność pod ścianą grupy młodych ratowników GOPR, którzy mieli właśnie odbywać szkolenie. Szkolenie, to nie znaczy, że dopiero się uczyli ratownictwa. Ratownicy, nawet doświadczeni, stale się szkolą.

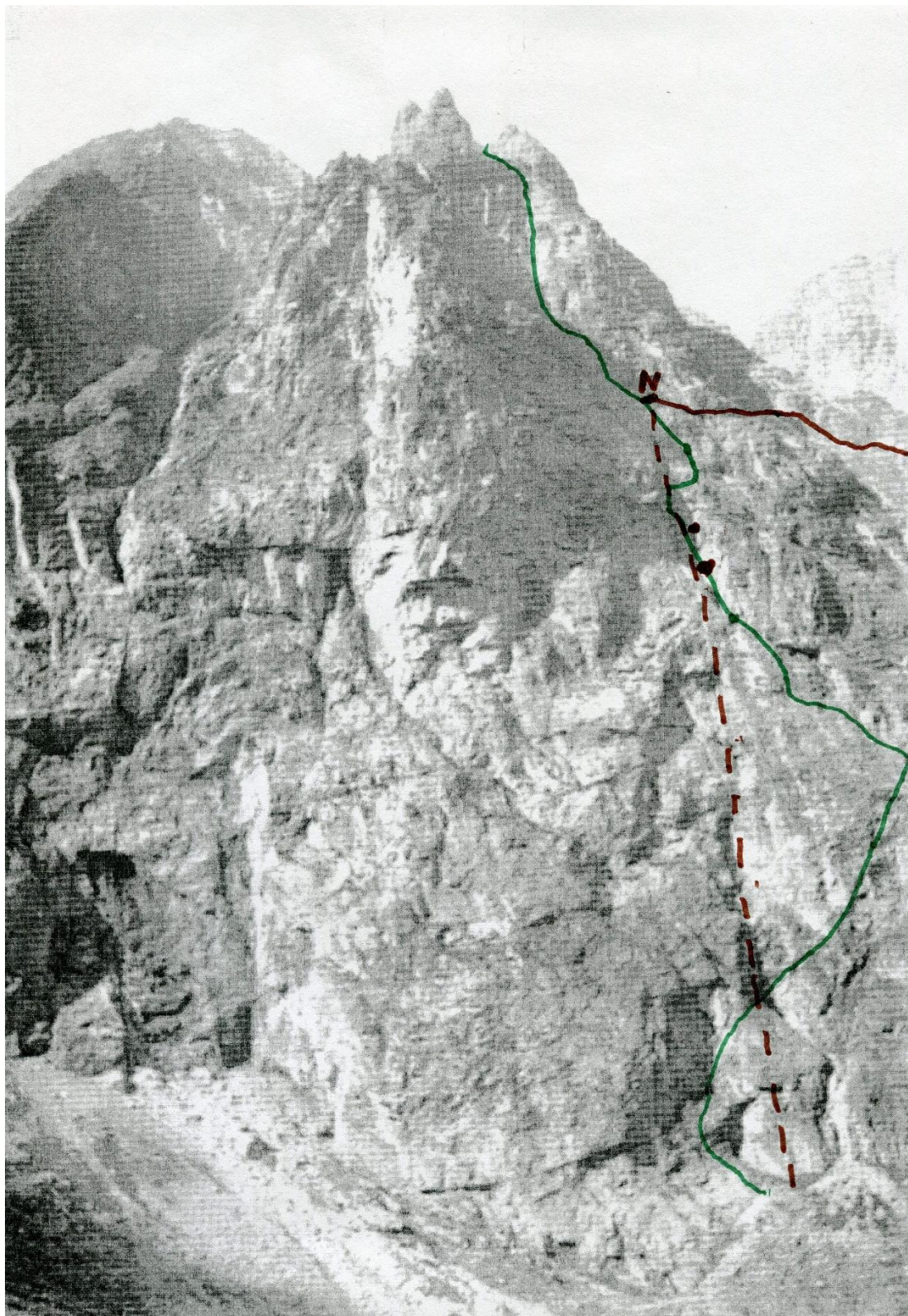
Kilku ratowników szybko wspina się od dołu do uszkodzonych, ale poza zabezpieczeniem ich nic więcej nie mogą zrobić. Potrzeby jest Gramminger i więcej ludzi.

Zestaw Grammingera, inaczej zestaw alpejski, to system urządzeń do opuszczania ratownika i rannego w specjalnych szelkach na linie stalowej. Składa się z wciągarki (ręcznej, bez żadnego silnika), bębnow z linką stalową w odcinkach po sto metrów. Wciągarka, wbrew nazwie, służy głównie do kontrolowanego wypuszczania linki i łączenia jej kolejnych odcinków, a po akcji do zwinięcia linki z powrotem.

Problemy są dwa, a stwarza je miejsce wypadku. Po pierwsze mamy nie jednego, lecz dwóch uszkodzonych, z których jeden nie żyje, a stan drugiego nie do końca jest znany. Opuszczanie ich pod ścianę za pomocą lin alpinistycznych trwałoby kilka godzin (w najlepszym wypadku). Drugi problem, to jak tam dotrzeć z ciężkim sprzętem. Bęben z setką linki waży wiele kilogramów. To nie plecak na wycieczkę.

No i to jest ściana Kazalnicy, wielka i pionowa. Można oczywiście łatwo dotrzeć ponad jej zerwy, ale stamtąd trzeba by ratownika opuszczać na linie długości ponad 500 metrów! To nie tylko trudne, ale i ryzykowne. Ostatni segment linki o średnicy kilku milimetrów byłby obciążony siłą ponad 300 kilogramów (dwóch ludzi i 500 metrów linki). W dodatku nie sposób uniknąć strącania kolejnych

kamieni, a nawet niewielki kamień spadający z takiej wysokości ma energię pocisku. Kamienie może strącać też sama linka, którą na tak długiej drodze trudno kontrolować.



Północna ściana Kazalnicy Mięgoszowieckiej. Droga Czesława Łapińskiego i Kazimierza Paszuchy – linia zielona. N – Nyża ze Świeczką. Droga wejścia w ścianę ratowników – linia czerwona. Położenie uszkodzonych – czerwone punkty. Górny – Jerzy Bajorek, dolny – Stanisław Bajorek. Linia przerywana – zjazdy Grammingerem. Fot. Krzysztof Łoziński.

W dodatku psuje się pogoda. Zaczyna padać deszcz i robi się późno. Grozi prowadzenie akcji po ciemku. Nie pamiętam, czy ratownicy mieli ze sobą zestaw Grammingera, ale na pewno nie mieli takiego zapasu linki stalowej. Tak, czy owak część sprzętu trzeba dowieźć z dołu.

Informacja o wypadku bardzo szybko dociera na obozowisko taternickie. Pakujemy sprzęt i ruszamy biegiem pod Kazalnicę. Wprawdzie akcję prowadzi GOPR, ale każde ręce mogą się przydać. Gdy docieramy po ścianę jest już wstępny plan akcji. Trzeba dostać się ponad miejsce wypadku do „Nyży ze Świeczką”. To taka spora nyża (rzeczywiście ktoś kiedyś zostawił tam świeczkę i została na lata) nad „Ścianką Problemową”. Jest w niej spora wygodna półka pod okapem dogodna na stanowisko zestawu Grammingera. Ale ta nyża jest dość wysoko w ścianie. Dojście od dołu wykluczone. Trzeba wtrawersować do niej z boku, od strony drogi Korosadowicza. Łatwo się mówi, trudniej zrobić. Zwłaszcza że nikt wcześniej takiego wariantu nie przechodził.

Rzeczywiście od prawej strony do „Nyży ze Świeczką”, przecinając komin na drodze Korosadowicza, prowadzi pas znacznie łatwiejszego trenu. Łatwiejszego, to nie znaczy sympatycznego i bezpiecznego. To głównie kruche skały i bardzo strome trawki. Każdy kto chodził po górach wie, co to są strome trawki w ulewnym deszczu i w ciemności. Trudno się na tym asekurować i omsknąć się jest bardzo łatwo.

Chcę uświadomić czytelnikom, co to znaczy. Nie mówimy o jakiejś stromszej łączce, tylko o trawiastym zboczu o nachyleniu rzędu 60 - 70 stopni, nad trzystumetrowym luftem. Trzeba wbijać palce w ziemię i czujnie wybierać stopnie. Pół biedy, gdy jest się blisko skały i jest w co wbijać haki do asekuracji. Gorzej, gdy trzeba przejść bez żadnego przelotu 20 czy 30 metrów ryzykując ogromny lot. Ale ktoś musi jako pierwszy to zrobić i założyć dla innych poręczówkę. A jest deszcz, ciemność i chwytamy tylko za ziemię i trawę. W dodatku kominem Korosadowicza, który trzeba przeciąć, płynie niemal wodospad.

Pamiętam taką scenę, gdy jeden z ratowników trzy razy wspinał się po trawkach w kierunku skały i trzy razy osuwał się dobre 30 metrów, zawisając na linie asekuracyjnej, po czym ponawiał próbę. Dopiero za czwartym razem założył poręczówkę.

Za oświetlenie służą, oprócz latarek, pochodnie. Ówczesne latarki na płaską baterię 4,5 V świeciły dość krótko. Najwyżej nieco ponad godzinę. Stąd używanie przez GOPR pochodni. Pamiętam taką scenę, niczym w stop klatce, Jak Zbyszek Skierski, niosąc ciężki ładunek po bardzo stromym zboczu, jedną ręką trzyma się poręczówki, a w drugiej trzyma płonąca pochodnię. Nie jest do poręczówki niczym przypięty. Po prostu trzyma się jej ręką.

W ciemnościach i ulewnym deszczu docieramy do „Nyży ze Świeczką”. Kilkunastu ludzi w fatalnych warunkach porusza się niemal lub zupełnie bez asekuracji nad trzystumetrowym luftem. W dodatku taszcząc bardzo ciężkie ładunki.

W końcu jest stanowisko Grammingera. Ale pomocy wymagają już także chłopcy z pierwszego zespołu. Tkwią od dobrych paru godzin na deszczu przy zmarłym i poszkodowanym. Są zestresowani, przemoczeni i wyziębieni.

Pierwszy zjeżdża Grammingerem ratownik Czesław Bednarz. Zapada decyzja, by zwieść jednocześnie ciało zabitego Staszka Bajorka i znajdującego się z nim Zbigniewa Grabowskiego. Chodzi o czas. Zrobi się za chwilę już pełna noc, stan rannego się raczej z czasem nie poprawia. Długość zjazdu, według danych GOPR, wyniosła 260 metrów. Drugi zjeżdża Maciej Gąsienica, zwożąc Jurka Bajorka. Przebywającego z nim Henryka Walkowiaka wpiął do alpinistycznej liny podciągowej. Wyciągnęliśmy go do góry. Łatwo się mówi: wyciągamy. Trzeba ciężar ok 70 kilogramów wyciągnąć 80 metrów do góry za cienką 8 milimetrową linkę. Na szczęście jest do tego sporo rąk.



Ściana Kazalnicy z profilu. Fot. Krzysztof Łoziński.

Niby akcja jest zakończona, ale trzeba jeszcze sprowadzić po tych wariackich trawersach wyziębionego kolegę, zlikwidować stanowisko i stargać tę całą kupę sprzętu na dół. Harujemy jeszcze parę godzin. Jesteśmy wszyscy zmęczeni (to łagodne określenie), przemoczeni i wymarznięci.

Następnego dnia w Gazecie Krakowskiej ukazał się historyczny artykuł, nie wiem co za pacan to napisał, o tym jak to „woda zalewała usta ratownikom”, „rozmiękłe od deszczu skały kruszyły się pod palcami” itp. bzdury. Takie historyczne teksty na pewno nam ani GOPR-owcom nie pomagają. A swoją drogą to pierwsze słyszę, by granit rozpuszczał się w wodzie.

Himalaje, Kaszmir 1979

Mam 31 lat

(obszerniejszy opis tej akcji zamieściłem w książce „Ślady na śniegu”, w rozdziale Himalaje Koszmaru. Została też ona opisana w książce Krystyny Palmowskiej „Zaklętym w górski kamień”)

Tym razem musieliśmy zmagać się nie tylko z górami, ale i z ludźmi, dla których różne interesy były ważniejsze niż ratunek. Do akcji ratunkowej włączyła się polityka.

Jestem kierownikiem wyprawy w Himalaje Kaszmiru, w Indiach. Wyprawa organizowana była przez Oddział PTTK w Koszalinie i zatwierdzona przez Komisję Turystyki Górskiej PTTK. Wbrew temu, co się wielu wydaje, nie tylko Polski Związek Alpinizmu może być organizatorem wypraw w góry wysokie.

Działamy w dolinie Kijaj, w której przed nami nie było jeszcze żadnej wyprawy. Już samo dojście do doliny było potężnym problemem ze względu na wyjątkowo trudny teren, Przejście przez poprzednią dolinę Sung Lai i trawersowanie dwóch grzbietów górskich, w tym ogromne przewyższenia, nawet 1900 metrów. W dodatku teren dolnych partii doliny i zboczy, które trzeba pokonać, porośnięty jest gęstym lasem, utrudniającym marsz i ograniczającym widoczność. Nawet sam marsz doliną, w której nie ma żadnej ścieżki, to realnie trawers po stromym zboczu nad płynącą dnem doliny wartką rzeką. Do atrakcji terenu należą na przykład strome płyty pokryte igliwem i trawersy po wąskich gzymsach nad ponad kilometrowym luftem. Do tego bardzo trudna orientacja w terenie. Bardzo łatwo zabłądzić.

Dosłownie w dniu założenia bazy, od wyprawy odłączyły się trzy osoby: Jan Oficjański, jego żona Barbara Oficjańska i Jacek Szczepański. Jak ustaliliśmy później od początku planowali oni oddzielną działalność, a nasza wyprawa potrzebna im była tylko do wyjechania z Polski i dotarcia w góry.

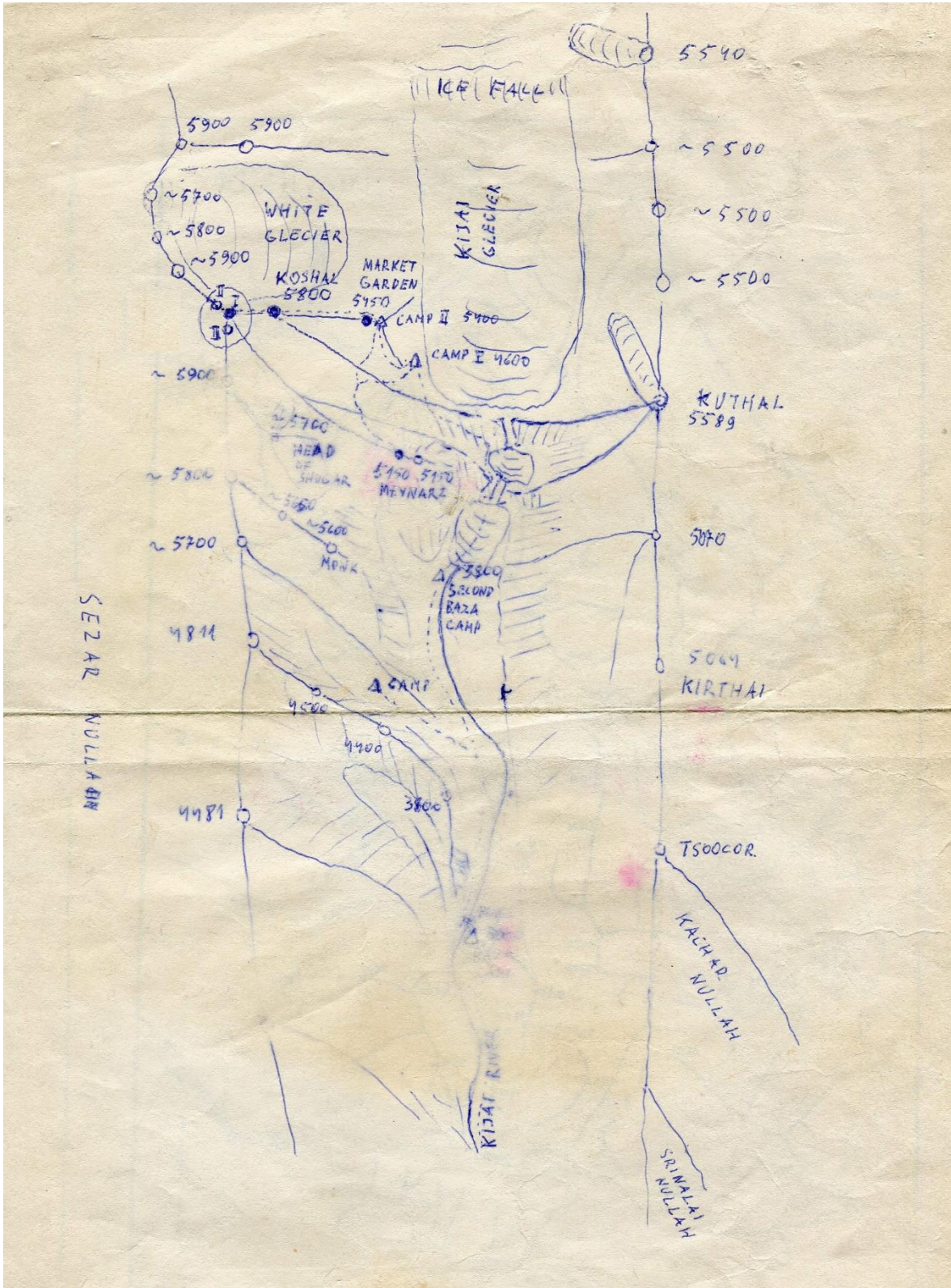
Rozłam w wyprawie jest rzeczą przykrą, ale trzeba wyjaśnić, że uczestnictwo w wyprawie jest dobrowolne, a kierownik nie ma żadnej realnej władzy, poza lojalnością koleżeńską. Niestety nie mogłem w tej sytuacji nic więcej zrobić niż tylko uznać fakt i próbować nakłonić ich do zmiany decyzji. Bez skutku.

Od tego momentu działamy oddzielnie. Rozmowa z Jankiem, który teraz określa się jako „kierownik osobnej wyprawy” była trudna. Janek nazywa nas „turystami”, a naszą wyprawę „turystyczną”. Ja według niego „opóźniam”, bo „teraz w Himalajach chodzi się w stylu alpejskim”. Spór ma jednoznacznie podtekst ambicjonalny.

Najpierw o faktach. Janek i Jacek są sprawnymi taternikami, ale nigdy nie byli w górach wysokich. Wspinali się w Tatrach i jeden sezon w Alpach. Mają za sobą po 6 sezonów wspinaczkowych. Barbara nie wspina się wcale. Pojechała na wyprawę jako żona Janka. W moim przypadku, „turysty”, mam właśnie dziewiętnasty sezon górski. Jest to moja czwarta wyprawa. Mam już w dorobku wejścia w Hindukuszu na Koh-e Awal (5800 m, solo), Koh-e Jarm (6000 m, solo), Koh-e Tez (7015 m, solo) i Tirich Mir (7706 m, z wyprawą brytyjską). Mam też znacznie lepszy od Janka (nic mu nie ujmując) dorobek tatrzański. Drugi raz kieruję wyprawą.

Co więcej, Janek wspinał się ze mną i dobrze mnie zna (on i Basia byli moimi kolegami ze studiów na Wydziale Fizyki). Zrobiliśmy razem, między innymi, pierwsze przejście „Superdirtissimy” Mniszka. Janek wie również, że w składzie wyprawy jest „Kuba” (Stanisław Gorgoń), który też ma staż górski nawet większy od mojego.

Moja wyprawa musi teraz działać w uszczuplonym składzie, bez dwóch sprawnych wspinaczy, na których liczyłem. Oprócz mnie i Kuby Gorgonia pozostają ze mną Józef Mąkinia, Stanisław Pelcarski, Janusz Marczak i Wiktor Sztapacki. Żaden z nich nie ma doświadczenia w górach większych niż Tatry.



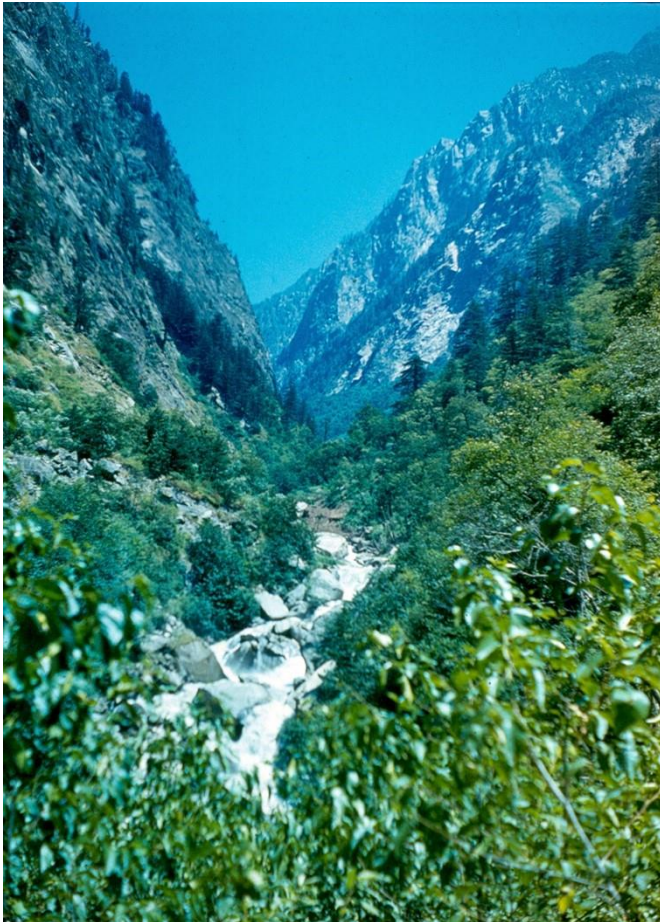
Jedyna „mapa”, jaką dysponujemy, narysowana na kartce długopisem przez Chrisa Boningtona, z naniesionymi później przeze mnie obozami drogi na szczyt P-6013.

Cóż, gdy grają ambicje, rozum śpi. Żądam od Janka oświadczenia na piśmie, że z własnej woli odłączają się od wyprawy. Janek pisze oświadczenie, w którym nazywa naszą wyprawę „turystyczną”. Cała trójka się pod tym podpisuje. Janek mówi: „my będziemy wspinać się na Arjunę, a wy na jakieś mniejsze szczyty”.

Na wtórne życzenie
odłączam się od wyjazdu
turystycznego do Indii
w roku 1979 organizowanego
przez oddział Klubu PTTK
Koszeleń
Oficjalna
Barbara
Jacek

Dokument o odłączeniu się od wyprawy podpisany przez Jana Oficjalnego, Barbarę Oficjalną i Jacka Szczepańskiego. Naszą wyprawę nazwał Janek „wyjazdem turystycznym do Indii”.

Arjuna (6225 m) była jednym z ostatnich niezdoitych sześciotysięczników Himalajów Kaszmiru. Problem w tym, że nikt nawet nie wiedział, jak wygląda, bo w tej dolinie nie było przed nami żadnego alpinisty. Nikt nie zrobił nawet jej zdjęcia. To jest 1979 rok. Nie ma jeszcze zdjęć satelitarnych. Nie ma nawet porządnej mapy. Dysponuję tylko szkicem, który narysował mi długopisem na kartce z zeszytu Chris Bonington, na podstawie tego, co widział z innego pasma z dużej odległości. Praktycznie działamy w zupełnie nieznanym terenie. Wiem tylko, że w dolinie są jeszcze trzy sześciotysięczniki, nie zdobyte szczyty P-6013, P-6002 i Brammah II (6450 m) zdobyte z innej strony, ale bez polskiego wejścia.



Dno doliny Kijai. Nie ma żadnej ścieżki, trudny teren porośnięty gęstym lasem i górską rzeką z silnym prądem. Fot. Krzysztof Łoziński.

Nie wiemy jednak jeszcze, jak duże trudności musimy pokonać, zanim w ogóle dostaniemy się w pobliże gór, które nas interesują. Możliwość dalszego marszu w głąb doliny po tej stronie rzeki się skończyła (stąd baza w tym miejscu). Musimy przeprowić się przez rzekę. Musimy zwałić kilka drzew i zbudować z nich prowizoryczny most, a za mostem pokonać „pionową ziemię” (formacja powstająca po podcięciu moreny lodowcowej przez wodę, pionowa ściana z gliny i kamieni). Dalej teren jest miejscami porządnie trudny. Szybko orientujemy się, że zwierzęta, o których słyszeliśmy w czasie rekonesansu od indyjskich myśliwych (niedźwiedzie himalajskie, pantery, tygrysy, kobry i pytony) realnie tu są, w tym lesie, w którym mamy bazę.

Ważne, że dzień marszu dalej w głąb doliny założyliśmy bazę wysuniętą, a grupa Janka przeniosła tam swoją bazę. Aby dotrzeć do podstawy właściwych gór, musimy jeszcze pokonać niebezpieczny

lodowiec i dwa skalne progi, z których pierwszy był poważną przeszkodą (pierwszy wyciąg V A0, dalej łatwiej).



Pierwszy próg przegradzający całą szerokość doliny i lodowiec. Pokonaliśmy go po skałach na lewo od wodospadu. Trudności V A0. Później wisiała tu poręczówka.

Kluczowy dla wypadku, który będzie powodem akcji ratunkowej, był moment spotkania mojej ekipy z Jackiem Szczepańskim i Barbarą, gdy schodziliśmy już do bazy po zakończeniu naszej działalności. Przechodziliśmy obok ich bazy i Jacek z Barbarą do nas podeszli. Pierwsza rozmowa jak z normalnymi kolegami, bez żadnych złościwości. Jacek mówi, że on i Janek atakowali Arjunę, ale nie

dali rady. Wyszli nawet „na grań” (którą?), ale była „ostra jak brzytwa”. Proponuję, by wracali z nami. Nie zgadzają się.

- A wy co zrobiliście? – pyta Jacek.

- Zdobyliśmy cztery szczyty - odpowiadam.

Faktycznie, weszliśmy na dziewicze szczyty P-6013, 5800, 5450 i 5150 m.

Ta rozmowa była chyba kluczem do tego, co działo się dalej. Zagrały ambicje. Oto my, pogardzani „turyści” odnieśliśmy sukces, a oni „alpiniści”, nie.



Staszek Pelcarski na górnym lodowcu nad progami. Jako pierwsi alpiniści świata oglądamy sporą grupę niezdobytą i w większości nawet nie nazwaną pięcio- i sześciotysięczników. Szczyt pośrodku to Arjuna – 6225 m. Fot. Krzysztof Łoziński.

Zacytuję tu fragment mojej książki „Ślady na śniegu” (fragmenty sprawozdania z wyprawy kursywą):

.....

Przebieg tej rozmowy był bardzo ważny ze względu na późniejsze wydarzenia. Przypomnę więc to, co napisałem o niej w sprawozdaniu tuż po wyprawie, bo po latach pamięć może zawodzić:

„Jacek mówi, że atakowali Arjunę, lecz bez powodzenia. Założyli na lodowcu »składzik«. Próbowali wspinać się przez kocioł i lodowczyk w ścianie szczytu 5600 m. (Jacek w inny sposób określił, o który szczyt chodzi. Mając gorszy zestaw map niż my, nie znał wysokości tego szczytu) Wspomina, że załamanie pogody, które ja ze Staszkiem przeczekiwałem na wysokości 5200 m, przebiwakowali na wysokości 5700 m i osiągnęli grań (którą?), ale była zbyt ostra, by się nią wspinać.

W relacji tej jest wiele sprzeczności. Lodowczyk, o którym mówi Jacek, jest złudzeniem, gdy patrzy się z dołu. Dobrze to było widać z naszego obozu II. Naprawdę jest to pozorny ciąg pól lodowych. Lodowczyk ten nie istnieje w terenie, lecz w wyobraźni patrzącego z lodowca Kijai. Wysokości 5700 m nie można w tym rejonie osiągnąć, gdyż szczyt, w ścianie którego wszystko to się znajduje, ma 5600 m. Osiągnięcie jakiegokolwiek grani też jest mało prawdopodobne. Moim zdaniem,

podawany przez niego przebieg wspinaczki był wytworem fantazji chłopców, którzy nie mogli się przyznać, że byli tak nisko.

[...]

Jacek mówi, że zamierzają teraz zaatakować jakiś łatwiejszy szczyt, a z Arjuna rezygnują. Zrozumiałem wtedy, że ma na myśli wspomniany już szczyt 5600 m, ale później, gdy analizowałem tę rozmowę szczegółowo, zacząłem mieć wątpliwości. Większość szczytów w otoczeniu doliny nie ma nazw, a z miejsca, w którym rozmawialiśmy, większości z nich nie widać. Mogłem więc źle zrozumieć. Barbara opowiada, że gdy chłopcy szli się wspinąć, siedziała w bazie sama i »dostawała bzika od szumu potoku« (później, już po powrocie do Polski, opowiadała mi, że przez jedną noc leżała sama w namiocie, trzęsąc się ze strachu, podczas gdy w obozie buszowało jakieś zwierzę).

Jacek dziwi się, gdy opowiadam, jak przechodziliśmy progi. Oni trudności pierwszego nie odczuli, bo przeszli po naszej poręczówce, a ominięcia drugiego nie zauważyli i musieli wspinąć się techniką hakową, by powiesić linę poręczową."

.....

Sytuacja jest taka: my musimy schodzić, bo praktycznie skończyło nam się jedzenie. Nie możemy czekać na grupę Janka, bo mamy przed sobą dwu lub trzydniowy powrót w bardzo trudnym terenie, a zostało nam zaledwie kilka konserw na sześciu ludzi. W dodatku ten powrót to nie spacer. W planie jest np. podejście na grań doliny Kijaj (przewyższenie 1900 metrów), bardzo trudne orientacyjnie zejście do doliny Sunglai, kolejne podejście 800 metrów i zejście do wsi Lai.

W dodatku w umówionym dniu nie przyszli tragarze

.....

Pod datą 16 września, napisałem:

„Przez chwilę rozważam czy nie powinniśmy zostać w dolinie i czekać na zejście grupy Janka. Jednakże, jest to zupełnie niemożliwe, bo nie mamy już żadnej rezerwy żywności. Musiałbym zostawić sześciu ludzi na kilka dni czekania i ciężką drogę do Lai zupełnie bez jedzenia. Na pewno źle by się to skończyło.

Pocieszam się, że załamanie pogody, które nastąpiło, zupełnie uniemożliwi im wyjście w góry. Musi przecież spaść wiele świeżego śniegu. Aby mieli szansę wejścia na jakikolwiek szczyt, potrzebują co najmniej sześciu dni pogody. Licząc, że dwa dni potrzebne im są na dojscie z bagażem do miejsca, gdzie na 26 września umówili się z tragarzami i dzień na likwidację bazy, pakowanie itp., ponadto dzisiejszy dzień odpada z powodu złej pogody, to wystarczy by padało jeszcze jutro, aby nie mieli już po co wychodzić z bazy. Oczywiście, mogą jeszcze przedłużyć pobyt, ale na to już nic nie poradzę.

Schodząc, zostawiamy poręczówki, z myślą głównie o Barbarze."

I dalej:

„17 września. Pakujemy się i odpoczywamy czekając na tragarzy. Pada deszcz.

18 września. Staje się jasne, że skoro tragarze nie przyszli wczoraj, a dziś mieliśmy już wyjść z karawaną, to znaczy, że nie przyjdą. Z żywności zostało nam zaledwie kilka konserw. Decyduję, że w bazie zostaną Szłapacki i Gorgoń, a my zejdziemy do Lai i przyślemy tragarzy z następną porcją żywności, którą mamy w Lai (też nie jest tego za wiele). Zabieramy na drogę tylko jedną, ale dużą konserwę, a resztę pozostawiamy Szłapackiemu i Gorgoniowi, by mogli jakoś przetrwać kilka dni oczekiwania. Od rana cały czas leje. Pocieszam się, że dotychczasowy grad uniemożliwił już całkowicie Jankowi i Jackowi wyjście w góry. Mają już za mało czasu i napadało tyle świeżego śniegu, że myśl o wspinaczce nie ma sensu, więc nic już im się nie stanie. Nie wziąłem wtedy pod uwagę

ambicjonalnego podtekstu sytuacji. Oni nie mogli przejść do porządku nad faktem, że my „turyści”, których oni odrzucili jako zbędny balast, zdobyliśmy cztery szczyty, a oni - żadnego. Ich ambicja takiej klęski nie mogła znieść.

Około południa, w ulewnym deszczu, wyruszamy w dół. Dochodzimy do końca doliny i tam nocujemy."



Widok na dolny lodowiec znad progów. Na jego końcu maleńki żółty punkt. To namiot baza, w którym Barbara czekała na powrót Janka i Jacka. Fot. Krzysztof Łoziński



Silnie powiększony fragment powyższego zdjęcia z żółtym punktem, namiotem Basi, pośrodku. Moim zdaniem te dwa zdjęcia pokazują ogrom tych gór. A to dopiero „regle”. Fot. Krzysztof Łoziński.

Wówczas nie rozumiałem, dlaczego tragarze nie przyszli. Pojąłem to dopiero, gdy lepiej poznałem Indie. A przyczyna była bardzo prosta. Ja im tłumaczyłem, używając mieszanki słów z farsy i kaszmiri, że mają przyjść szesnastego września, a oni w ogóle nie znali kalendarza i nie wiedzieli, ani co to wrzesień, ani co to szesnasty.

Znów uciążliwy marsz doliną, tym razem w dół. W dodatku pada deszcz, co nie ułatwia zadania. Skąły są śliskie, a na gałązkach gęstej roślinności pojawiła się stała przyjemność tropikalnego lasu: dżugi, czyli małe, wszędobylskie pijawki. Nie sposób się od nich opędzić, bo są wszędzie. Dżuga przysysa się do ciała całkowicie bezboleśnie i można tego w ogóle nie zauważyć. Wydziela jakąś substancję, która z jednej strony znieczula, a z drugiej powoduje, że krew nie krzepnie. Gdy dżuga już się odcepi, z wytworzonej przez nią ranki dalej cieknie krew. Po pewnym czasie marszu przez tropikalny las w deszczu, człowiek jest cały pokrwawiony jak rzeźnik. Dżugi nie są szkodliwe, nie przenoszą chorób, ale są za to wyjątkowo paskudne. Znajduje się je w butach, pod bielizną, pod pachami.

Dochodzimy do końca doliny. Po drodze w paru miejscach przecinamy pasy stromych płyt, po których w tej chwili leci woda. Na trawersie jednego z nich Staszek obsuwa się i zaczyna spadać. Łapie się cherlawego krzaczka kilka metrów niżej i zawisa. Ma sporo szczęścia, bo pod nim jest sto metrów luzu do Kijajowej Wody, a ten krzaczek - to dosłownie byle badył. Aż cud, że wytrzymał. Biwakujemy w lesie w ciągłym deszczu. Biwakujemy na głodno. Naszą jedyną konserwę zostawiamy na później. Przed nami kawał drogi.

„19 września. Rozpoczynamy 1900-metrowe podejście na grań między doliną Kijai a doliną Sung Lai. Po drodze kilkakrotnie błędzimy. Józek zaczyna słabnąć z powodu braku wystarczającej ilości pożywienia. Biorę część ładunku z jego plecaka. Przy Biwaku z Tarantulami zjadamy naszą ostatnią konserwę. Dalej musimy już iść bez jedzenia, aż do Lai. Przed wyjściem na grań trzy godziny błędzenia, mimo że ja przechodzę tędy czwarty raz. Zaczyna słabnąć Staszek. Na wieczór schodzimy do doliny Sung Lai. Jest to bliżej niż spodziewaliśmy się dojść. Cały dzień pada. Przykry, głodny biwak w Sung Lai.

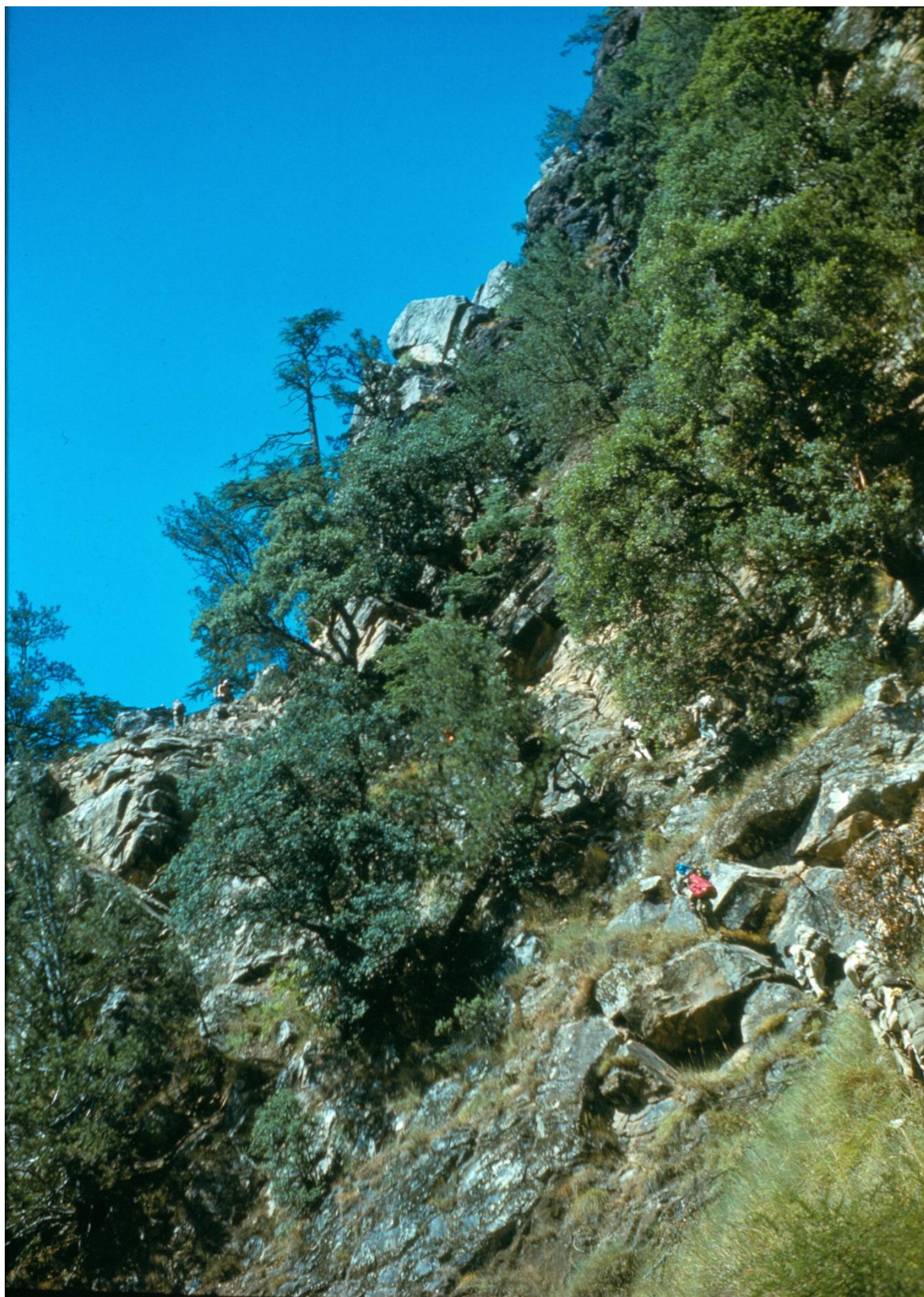


Na trawersach drugiej grani. Zdjęcie z karawany podczas dojścia do bazy. Józef Mąkinia, Wiktor Szłapacki (odwrócony) i tragarz. Fot. Krzysztof Łoziński.

Tyle sprawozdanie. Było jeszcze błędzenie w poszukiwaniu początku podejścia. Gdybyśmy nie trafili we właściwy zachód, mogliśmy się wpakować w jakieś ogromne skalne ściany, których tu nie brak. 1900 metrów podejścia, a właściwie łatwej wspinaczki na żywca i na głodno, to też nie w kij dmuchał. Słabli nie tylko Józek i Staszek. Słabli wszyscy. To, że pierwszy osłabł Józek, góral z Żywca, człowiek żyła, z gatunku, co to kamieniem nie dobijesz, było dla mnie zaskoczeniem. Ale na głód nie ma mocnych.

Dużo poważniejsze błędzenie miało miejsce na końcu trawersów w kierunku doliny Sung Lai. Przez dobre trzy godziny nie mogliśmy znaleźć początku zachodu, którym się do niej schodzi. Ciągłe różne błędne zachodziki wyprowadzały nas na krawędź ogromnej strefy przewieszanej. Gdy byliśmy już bliscy zwątpienia, wpadłem na pomysł, że po prostu jesteśmy za nisko. I to było właściwe rozwiązanie. Wspiąłem się wprost w górę czwórkowym kominkiem i od razu zauważyłem, że jestem tu, gdzie trzeba. Zwróćcie uwagę: w tym „turystycznym terenie” trudności wspinaczkowe IV.

W Sung Lai rosły orzechy włoskie, ale były jeszcze niedojrzałe. Z głodu próbowaliśmy je jeść i wszyscy poparzyliśmy sobie wargi ich sokiem. Wcześniej zjedliśmy nasz ostatni prowiant: kilkanaście tabletek witaminy C w cukrowej polewie. Potraktowaliśmy ją jak cukierki.



Nasza karawana podczas dojścia do bazy na podejściu do pierwszej grani. Fot. Krzysztof Łoziński.

Następnego dnia rano, w powolnym tempie i w ulewnym deszczu, pokonujemy ogromne podejście na następną grań. Wszyscy już są bardzo słabi z głodu i potężnego wysiłku. Ja trzymam się z całego towarzystwa jeszcze najlepiej, co nie znaczy, że dobrze. Mój plecak staje się coraz cięższy, bo biorę od nich część rzeczy.

Po południu wychodzimy na ostatnią grań. Pogoda się nieco poprawia i wraca optymizm. Widać już Lai i wiemy, że dojdziemy, choć nogi mamy już wszyscy jak z waty. Od doliny Kijaj zrobiliśmy na głodno najpierw 1900 metrów podejścia, potem 1200 metrów zejścia i w końcu 800 metrów kolejnego podejścia. Teraz jeszcze kilometr w dół i koniec. To tak, jakby przelecieć się trzy razy z Morskiego Oka na Rysy i z powrotem na gładniaka. Proszę mi pokazać takiego, co nie osłabnie.

Chmury nieco się rozwiały i widać góry. Szczyty w otoczeniu doliny Bela pokryte są grubą warstwą świeżego śniegu. Nękani przelotnymi deszczami szybko schodzimy do Lai. Natychmiast przystępuję do umawiania tragarzy, którzy pójdą po Kubę i Szłapę.

Kuba, prowadzący dziennik, zanotował przebieg pogody tego dnia (20 września) w dolinie Kijai:

„- rano intensywny ciągły opad do godziny 11.30,

- godzina 13 - ponowny lekki opad,

- godzina 15.10 - opad intensywny do godziny 19.

Później pogoda dobra przez co najmniej tydzień (tyle czasu byliśmy jeszcze w niewielkiej odległości od gór i mogliśmy je widzieć). Śnieg, który spadł, już nie topniał.”

Według relacji Basi właśnie tego dnia Janek i Jacek po raz ostatni wyszli w góry, by nigdy już z nich nie powrócić.

Nie wiedzieliśmy wówczas, co dzieje się z trójką, która pozostała w dolinie Kijai. Byliśmy raczej przekonani, że opady śniegu definitywnie zakończyły ich wycieczkę, że nie pozostało im nic innego, niż związać interes i wracać. O tragedii i jej przebiegu dowiedzieliśmy się dużo później.

21 września wczesnie rano piątka tragarzy wyszła po Kubę i Szłapę. Zabrali dla nich papierosy i jedzenie. Górale z Lai tak przejęli się naszą opowieścią, że chłopcy nie mają co jeść, że pokonali trasę do doliny Kijai w zawrotnym tempie.

23 września wracają tragarze z Kubą i Szłapą. Umawiamy karawanę mułów na drogę powrotną. Dopilnowuję, by tragarze umówieni z grupą Janka na 26 września po nich wyszli. Wychodzi pięciu tragarzy.

.....

Wracamy do Polski. 8 października lądujemy w Warszawie. Jesteśmy w świetnych nastrojach. Nic jeszcze nie wiemy o wypadku. Tego samego dnia, 8 października, myśliwi z Lai znaleźli przypadkiem kompletnie wyczerpaną i załamana Barbarę w dolinie Sung Lai, ratując jej życie.

Ale my o tym nie wiemy. Barbarę zaprowadzili do większej wsi Atholi, skąd posłaniec zawiadomił policję w Kisthwar. Tam był najbliższy telefon, ale policja w Kisthwar kompletnie zlekceważyła sprawę i informacji o wypadku nigdzie nie przekazano.

Ósmego października, dosłownie pięć minut po wejściu do domu dostaję telefon od ojca Barbary, który wyjechał po nią na lotnisko i oczywiście jej tam nie zastał. Ojciec Basi został zawiadomiony o przylocie wyprawy przez moją żonę, która nie miała pojęcia, że nie wracamy w komplecie, i w dobrej wierze do niego zadzwoniła.

Mówię mu o odłączeniu się trójki i o tym, że wrócą zapewne później, bo deklarowali zamiar pozwiedzania Indii. Pyta, czy nie warto by sprawdzić, czy są już w Delhi. Uważam, że sprawdzić nie zawadzi, ale jeśli jeszcze ich nie ma, to może znaczyć, że spokojnie zwiedzają Indie. Podaję numer telefonu i teleksu do ambasady w Delhi.

11, 12 i 13-go października ciągle nie ma ich w Delhi. To już zaczyna być trochę za długo, choć ciągle nie wiadomo, czy nie opalają się na Goa, albo nie zwiedzają Benares. Postanawiam działać, mimo że mam wątpliwości, czy nie robię alarmu niepotrzebnie. Zawiadamiam, na razie ustnie, MSZ i PZA. Następnie zawiadamiam rodziców Jacka Szczepańskiego, a ojciec Basi zawiadamia rodziców Janka. Do tej pory nie chcieliśmy ich bez powodu denerwować. Teraz też nie wiemy, czy alarm nie jest bezpodstawny, ale uznajemy, że lepiej zrobić alarm niepotrzebny, niż nie zrobić potrzebnego.

MSZ nie widzi powodu, by cokolwiek robić.

Rozmowa w PZA była dziwna. Dlaczego w ogóle zawiadaniałem PZA? Dziś bym tego nie zrobił, ale wówczas uważałem, że ta organizacja w jakiś sposób reprezentuje środowisko i że mogę liczyć na jej pomoc w ratowaniu kolegów. Naszych wspólnych kolegów. Jedynym rezultatem tej rozmowy było wydanie przez PZA oświadczenia, że „wyprawa nie była zatwierdzona przez PZA”. Zarząd PZA myślał więc tylko o ratowaniu własnej skóry i wytworzeniu dupokrytki w postaci tego oświadczenia. Wyprawa nie była zatwierdzona przez PZA, bo PZA jej nie organizował i nie miał nawet możliwości jej „zatwierdzić”, nawet gdyby chciał. Była zatwierdzona przez KTG PTTK, czyli organizatora i była całkowicie legalna. Można również organizować wyprawy prywatne i wtedy nikt nie musi ich zatwierdzać.

PZA nie musiał też w ogóle zajmować w tej sprawie żadnego stanowiska. Było to obrzydliwe odcięcie się od kolegów, którzy być może gwałtownie potrzebowali pomocy w górach (wówczas nie wiedzieliśmy przecież, co naprawdę się stało).

15-go października, po dwóch dniach bezskutecznych prób namówienia kogokolwiek do ruszenia tyłka i podjęcia jakiegoś działania, składam w MSZ powiadomienie na piśmie o zaginięciu trzech osób w Indiach. Mam nadzieję, że wobec pisemnego dokumentu urzędnicze ichmoście nie będą mogły dalej udawać, że nic nie wiedzą i stosować taktyki uników.

Zadziałało. Ale zadziałało na zasadzie, której się nie spodziewałem. Ruch w pokojach wywołało nie tyle moje zawiadomienie, co zawarte w nim nazwisko Szczepański. Jedną z czołowych postaci komunistycznej elity był wtedy wszechwładny szef Radiokomitetu Maciej Szczepański. Nie wiem do dziś, czy Maciej Szczepański jest w jakikolwiek sposób spokrewniony z Jackiem Szczepańskim i nie mam ochoty tej okoliczności dociekać. Wiem natomiast na pewno, że nie podejmował on w tej sprawie żadnej interwencji. Urzędniczą panikę i nadgorliwość spowodowała sama myśl, że ewentualnie mógłby.

Już następnego dnia ambasada zwraca się o pomoc do rządu Indii. Hindusi wysyłają wojskowy helikopter do Atholi (większej wsi w okolicy doliny Kijai), który zastaje tam Baškę. Tylko Baškę. Informacja, jaką dostaję z MSZ, jest niezwykle lakoniczna, ale i tak wiem, co to znaczy: „Helikopter armii indyjskiej odnalazł Barbarę Oficjalską w miejscowości Atholi. Poszukiwania Jana Oficjalskiego i Jacka Szczepańskiego trwają bez rezultatu.”

Komunikat mówi o poszukiwaniach, ale dla każdego, kto choć trochę zna góry, jest jasne, że szanse, by żyli, są znikome. Alpinści nie gubią się w górach, jeśli żyją. Dziś wiem, że informacja uzyskana z ambasady zwierzała nieprawdę, bo żadne poszukiwania nie trwały. Minęło Minęło 8 dni od odnalezienia Basi i 28 dni od wyjścia Janka i Jacka w góry i nic się nie działo.

Dzwonię do pana Szczepańskiego, ojca Jacka. Powtarzam dosłownie treść komunikatu. Pan Szczepański stara się rozmawiać ze mną spokojnie, choć wiem, że musi go to sporo kosztować. W tle słyszę narastający potworny krzyk matki Jacka. Musiała słuchać przez drugą słuchawkę. Teraz i ja z trudem zachowuję spokój. Ten krzyk będę pamiętał do końca życia. Nikomu nie życzę zawiadamiania rodziców o śmierci ich dzieci.

Wieczorem dowiadujemy się nieco więcej z komunikatu PAP. Chłopcy wyszli w góry 20 września i nie powrócili. Barbara została odnaleziona po 18 dniach przez miejscowych myśliwych i

dotarła do Atholi, gdzie znalazł ją helikopter. Dla mnie wszystko jest już tragicznie jasne. Wyszli w góry 28 dni temu. Nie ma żadnych szans, by żyli.

Rodzice Jacka nie chcą się pogodzić z tą nieubłaganą logiką. Za wszelką cenę chcą ratować syna. Rodzice Janka przyjmują fakty do wiadomości. Nie chcą się z nikim widzieć, o niczym rozmawiać. Proszą, by zostawić ich w spokoju z tą tragedią.



Pierwsza prasowa informacja o wypadku. „Życie Warszawy” 17 października 1979.

Przez kilka następnych dni, razem z panem Szczepańskim, gorączkowo staramy się pomóc w poszukiwaniach, które zorganizowała ambasada. W tamtym czasie łączność z Delhi nie była taka łatwa jak obecnie. Nawet zwykły telefon był problemem. Mimo to udało mi się z Wojskowej Agencji Fotograficznej przesać faksem zdjęcia otoczenia doliny i narysowaną naprędce mapkę.

Dowiadujemy się, że ambasada wysłała do doliny Kijai trzech ludzi, którzy przypadkowo w tym czasie byli w Delhi: grotolaza Chrystiana Parmę i turystów górskich Marka Kaniewskiego i Stanisława Rudzińskiego. W pełni rozumiem szlachetne intencje kolegów, ale mam wrażenie, że rozpoczęto akcję ratunkową od powtarzania błędów ofiar wypadku.

Znowu w dolinie jest trzech ludzi, i to stanowiących zespół jeszcze słabszy, pod względem umiejętności alpinistycznych, niż poszukiwani. Janek i Jacek, mimo wszystkich błędów jakie popełnili, byli jednak całkiem niezłymi wspinaczami. W tej trójce umiejętności alpinistyczne, na w miarę przyzwoitym poziomie, ma tylko Parma, zaś pozostali głównie dobre chęci. Trzy osoby, bez specjalistycznego sprzętu i bez środków łączności, praktycznie nie mogą udzielić żadnej pomocy rannym. Nie są też w stanie przetransportować rannych, a nawet tylko jednego rannego, w rejon łatwiej dostępny.

W całej tej sprawie spletały się motywacje, z jednej strony ludzi władzy, którzy musieli się wykazać, że coś robią, a z drugiej strony ludzi, którym etyka taternicka nie pozwalała odmówić spieszenia na pomoc kolegom, niezależnie od tego, co o celowości akcji myśleli. Pytano mnie później wielokrotnie, dlaczego nie odmówiłem udziału w akcji organizowanej przez ambasadę i MSZ. Przecież nie mogłem. Wyobraźmy sobie, co by było, gdybym odmówił: był kierownikiem wyprawy, od której się odłączyli, a kiedy ulegli wypadkowi, odmówił pójścia na pomoc! Zrobiono by ze mnie niemal mordercę.

Zresztą próbowano. Tuż przed moim wyjazdem do Indii na akcję ratunkową zadzwonił do mnie niejaki Włodzimierz Krzyżanowski ze „Sztandaru Młodych” i koniecznie chciał zrobić ze mną wywiad na temat wypadku (ściślej zadzwonił do PZA, gdzie przypadkowo mnie zastał). Odmówiłem mu i myślałem, że na tym koniec. Tymczasem tenże pan, nie mogąc uzyskać ode mnie wywiadu, opublikował wywiad zmyślony. Do tego dołączył wypowiedź kogoś z zarządu PZA, o tym, że „wyprawa nie była zatwierdzona przez PZA”, oczywiście przemilczając, iż była zatwierdzona przez KTG, a PZA nie miało tu nic do rzeczy, a na koniec dodał wypowiedź jednego z nestorów GOPR-u cytującego

Wawrzyńca Żuławskiego: „przyjaciela nie zostawia się nawet, gdy jest bryłą lodu”. Tenże nestor GOPR, Józef Krzeptowski, swoją drogą bardzo porządny człowiek, kompletnie nie wiedział, o co chodzi i był już starszym panem na emeryturze. Skoro dziennikarz zapytał go, czy można porzucić w górach przyjaciela, to odpowiedział, że nie można. I słusznie. Ja też bym tak odpowiedział. Zresztą sugestia, że ja i koledzy „porzuciliśmy” grupę Janka, była zwykłym kłamstwem i padła w momencie, gdy brałem już udział w organizowaniu akcji ratunkowej. Gwoli prawdy, to przecież zrobiłem wszystko, co mogłem, najpierw by zapobiec wypadkowi, a później, by ich ratować, choć w szansę ratunku nie wierzyłem.

Krzysztof Łoziniski
Nowa Miśnica 20m3

MSZ.

Oświadczenie

Oświadczam, że przystępuję do akcji ratunkowej w Himantajach Karakorum jako osoba prywatna spełniająca na prośbę rodzin zagrożonych humanitarny obowiązek ratownika. Moje przystąpienie do akcji oraz karide z obywateli, które podlegają, walenizacji od: woli rodzin zagrożonych; decyzji przedstawicieli rządu PRL w Indiach (Ambasady), której kieruje akcja ratunkowa; środków jakie zapewnili mi Ambasada PRL i władze Indytjii dla prowadzenia akcji; oceny warunków panujących w górach pod względem bezpieczeństwa grupy ratowniczej i szans na odnalezienie zagrożonych; dotychczasowych wyników akcji. Moje przystąpienie do akcji jest spełnieniem prośby rodzin zagrożonych a nie wywarem z mojej oceny szans odnalezienia poszukiwanych.

Moje oświadczenie dla MSZ napisane w biurze ministerstwa. Prosiłem o udostępnienie maszyny do pisania, ale stwierdzili, że ich maszyny są „tajne”. Dostałem tylko kartkę i flamaster.

Oczywiście Włodzimierz Krzyżanowski sam na to nie wpadł. Nad tym już pracowały łepki w MSW i wymyśliły, że potrzebna jest publikacja, w której polityczny dysydent organizuje „nielegalną” wyprawę, po czym porzuca w górach przyjaciół na pewną śmierć. Oczywiście redakcja poinformowała czytelników, że trwa akcja ratunkowa („na koszt państwa!”), ale zapomniała poinformować, że biorę w niej udział. Jednym słowem zimny drań, „marcowy komandos” (1968), zwolennik KOR-u, porzuca bez litości, „władza ludowa” na własny koszt ratuje, PZA się odcina, a GOPR potępia.

Prowadzę w MSZ dość jałowe rozmowy i tłumaczę, że szanse znalezienia chłopców żywych są bliskie zera, a może i żadne. Że jeśli już ktoś koniecznie musi robić akcję ratunkową, to niech ona ma chociaż ręce i nogi. W Indiach i w Nepalu jest cała masa wracających wypraw, a więc są alpinści z prawdziwego zdarzenia, co znają się na rzeczy. Taką akcją powinien kierować alpinista z autorytetem. Takiej akcji trzeba zapewnić odpowiedni sprzęt i łączność... Spotykam się nawet z ministrem i przedstawiam cały referat, co jest potrzebne, a co nie. Przedstawiam też swoją opinię, że zaginionych nie można uratować, bo akcja ratunkowa może do nich dotrzeć najwcześniej w 44 dni, odkąd wyszli w góry. Trzeba więc rozważyć celowość narażania innych ludzi. W odpowiedzi dowiaduję się, że do Indii zostanie wysłany ratownik GOPR Marian Cieślewicz z psem lawinowym. Mam wrażenie, że biorę udział w jakimś tragicznym teatrze absurdu.

Pan Szczepański prosi mnie, bym wziął udział w akcji. Odmówić nie mogę, ale zastrzegam, że nie widzę szans powodzenia. Mówię wyraźnie: moim zdaniem chłopcy nie żyją. Gdyby choć jeden z nich żył, dawno by dotarł do ludzi.

- Znam te argumenty - mówi pan Szczepański - ale nie zasnąłbym spokoju do końca życia, gdybym nie zrobił wszystkiego dla ratowania syna.

Nagle, wszystko co w PRL-u zawsze było niemożliwe, stało się możliwe. W ciągu zaledwie czterech godzin dostaję nowy paszport, mam załatwioną wizę, kupiony bilet lotniczy i siedzę w samolocie. Zamiast Mariana Cieślewicza, leci ze mną Franek Spytek z psem Bućkiem.

Franek też uczciwie przedstawia panu Szczepańskiemu i urzędnikom z MSZ, co myśli o celowości tej akcji, a myśli mniej więcej to samo, co ja. Jednak jest ratownikiem GOPR i składał przysięgę, że nigdy nie odmówi niesienia pomocy w górach.

Obaj uważamy, że absurdem jest ciągnięcie w Himalaje psa. Pies może znaleźć człowieka zasypanego lub zaginionego, ale musi mieć jakiś określony kierunek szukania. W tym przypadku nic nie wskazuje na to, że chłopcy zginęli akurat w lawinie. Poza tym pies, tak jak człowiek, potrzebuje aklimatyzacji. Nie można go, ot tak, wysadzić z helikoptera na czterech tysiącach, jeśli dotąd nie przekraczał w swoim życiu wysokości rzędu dwóch tysięcy. W tym przypadku, pies mógłby szukać ludzi najwyżej w dolnych partiach doliny, a jest wyjątkowo mało prawdopodobne, by zaginęli właśnie tam. Decyzję o wysłaniu na akcję psa podjął ktoś w MSZ, a MSZ uważa swoje decyzje za niepodważalne i poza dyskusją. Obaj z Frankiem wiemy, że najwyższa pora, by kierowanie akcją przejął ktoś znający się na rzeczy. Inaczej MSZ za chwilę wyśle na nią płetwonurków, różdżkarzy, łódź podwodną albo szybowiec.

W Delhi na lotnisku, jeszcze w strefie tranzytowej, czeka na nas polski konsul, pan Jan Wawrowski. Wychodzimy przejściem dla VIP-ów, praktycznie bez żadnej odprawy. Całe szczęście, bo przy normalnej odprawie mogłoby komuś wpaść do głowy, że pies ma odbyć kwarantannę. Spotykamy się od razu z ambasadorem i dowiadujemy się, że będziemy mieli do dyspozycji wszystko co trzeba, samochody, helikoptery... Na razie zostajemy zakwaterowani w klimatyzowanym apartamencie. Jutro mają przybyć inni uczestnicy akcji, jeszcze nie wiemy kto, oraz ma powrócić grupa poszukiwawcza Parmy.

Następnego dnia przyjeżdżają uczestnicy dwóch wypraw: gdańskiej wyprawy na Daulaghiri i śląskiej wyprawy na Lhotse. Do tego jeszcze parę osób z innych wypraw. Nagle okazuje się, że jest nas cały tłum i wszyscy chcą brać udział w tej akcji. Udajemy się z Frankiem ponownie do ambasadora.

Mówię, że taki tłum tu nie jest potrzebny. Wystarczy wybrać kilka naprawdę kompetentnych osób, a przede wszystkim ustanowić kierownika akcji. Proponuję Andrzeja Czoka, alpinistę o wielkim autorytecie, którego nikt nie zakwestionuje, a za razem człowieka tak zrównoważonego, że pokłócić się z nim może tylko jakiś skrajny furia. Odbywa się wielkie zebranie, w wyniku którego Andrzej zostaje kierownikiem akcji. Wszyscy też upoważniamy go do wybrania, z tego tłumu, uczestników wyprawy poszukiwawczej.



Pies lawinowy „Bućko” i ja na terenie ambasady polskiej w Delhi. Fot. Franciszek Spytek.

Andrzej Czok postanawia, że w akcji wezmą udział chłopcy z grupy już działającej w górach (Parma, Kaniewski i Rudziński) oraz Jurek Kukuczka, Tadek Szulc, Franek Spytek, Ania Pietraszek i ja. Daje to razem dziewięć osób. W razie potrzeby mamy w zapleczu sporą grupę naprawdę dobrych alpinistów z obu wypraw, którzy jeszcze przez kilka dni pozostają w Indiach. A jest w Delhi parę prawdziwych gwiazd, jak Wojtek Kurtyka, Walek Fiut, Adam Bilczewski. Ze strony ambasady łącznikiem ma być konsul Jan Wawrowski a ze strony władz Indii pełnomocnik ministra turystyki rządu stanowego w Kaszmirze pan N.C. Kohli.

Po południu przylatuje z Jammu Barbara. Jest w lepszym stanie niż się można było spodziewać. Przede wszystkim nadspodziewanie dobrze się trzyma psychicznie. A przecież przeżyła

prawdziwy koszmar. Dopiero tu, w Delhi poznaję całą historię jej powrotu. Basia mówi, że przeżyła, bo woli walki dodawała jej myśl o zostawionej w kraju córce. Gdyby nie miała dziecka, pewnie wcześniej by się załamała.



Grupa Arjuna (6225 m) widziana z obozu II na P-6013. To zdjęcie bezczelnie przerysował „jasnowidz”.

Fot. Krzysztof Łoziński

Po naszym rozstaniu przez cztery dni panowała fatalna pogoda. Padał śnieg. Później się przejaśniło. 20 września Janek i Jacek wyszli w góry. Powiedzieli Basi, że idą zlikwidować założony na lodowcu składzik, a jeśli poprawi się pogoda, „to może pójdą gdzieś się wspinać”. Zabrali ze sobą żywność na pięć dni i lekki sprzęt biwakowy (płachtę, kurtki puchowe, jedną nogę słońca, karimaty). Basia została sama w bazie. Tylko ona sama mogłaby opowiedzieć, co przeżyła. Ja mogę się tylko domyślać i podjąć próbę rekonstrukcji na podstawie nielicznych znanych mi faktów.

Samotna dziewczyna, z doświadczeniem tylko skałkowym i turystycznym, w ogromnych górach. Chłopcy nie wracają, jeden dzień, drugi, trzeci... Najpierw myśli, że poszli się wspinać, ale z każdym kolejnym dniem narasta niepokój. Basia nie ma w bazie nic do roboty. Ile czasu można sprzątać w namiocie i gotować dla jednej osoby? Z lasu dochodzą porykiwania niedźwiedzi. Ze zlebu Mickea Jaggera spadają ciągle kamienne lawiny. Z miejsca, w którym znajduje się baza, widok jest bardzo ograniczony. Górnej partii doliny stąd nie widać. Pewnej nocy jakieś duże zwierzę,

prawdopodobnie niedźwiedź, buszuje po bazie. Zwała namiot, rozwała konserwy. Barbara przerażona leży nieruchomo udając, że jej nie ma. Nawet nie zobaczyła, co to było.



Taki widok musiała zobaczyć Barbara po przejściu drugiego proggu. Ściana Arjuny ma blisko dwa kilometry wysokości. Fot. Krzysztof Łoziński.

Mijają kolejne dni. Nic się nie dzieje, a jej niepokój narasta. Po ośmiu dniach postanawia działać. 29 września wyrusza na poszukiwanie chłopców. Przechodzi progi na lodowcu po poręczówkach. Pierwszy to nie problem. Pionowy odcinek jest tu krótki. Gorzej z drugim progiem. Barbara nie wie, że można go obejść, tak jak my to robiliśmy. Długi odcinek poręczówki na drugim proggu wisi w powietrzu. Basia nigdy przedtem nie podchodziła po linie na jumarach. Obracała się w środowisku alpinistów, jeździła z nami w skałki, więc widziała, jak inni to robią, ale widzieć, a zrobić samemu, to nie to samo. Coś tam prawdopodobnie źle zawiązała, bo w pewnym momencie odcepił jej się piersiowy jumar i zawisła tylko na nożnym. Niejeden wspinacz by w tej sytuacji zgłupiał. Basia była jednak tak zdeterminowana, że dała sobie radę.

Wchodzi na górny lodowiec i po raz pierwszy widzi właściwe góry. Nie wie nawet, która góra jest która. Może zidentyfikować tylko Arjunę i Brammah II, bo to najwyższe szczyty w okolicy. Zapada wieczór. Góry są przeraźliwie puste. Nikt nie odpowiada na wołanie, po zmroku nie widać żadnego światełka. Martwa cisza.

Następnego dnia rano dochodzi do bariery seraków przecinającej cały lodowiec. Znajduje składzik sprzętu zostawiony przez chłopców. To niemal cud, że go znalazła. Lodowiec jest ogromny, ma ponad kilometr szerokości, a ona przecież nie miała żadnego opisu, gdzie się ten składzik znajduje. W składziku są trzy konserwy, torebka pierników, kilka torebek zup w proszku, spodnie przeciwwiatrowe i haki lodowe. A więc chłopcy wzięli sprzęt do wspinaczki, która musiała być niezbyt długa (zostawili

część żywności). Mogli mieć ze sobą żywność najwyżej na 2-3 dni (wyjściowo mieli na pięć, a część zostawili). Zabrali tylko haki skalne, poszli więc na skalną wspinaczkę. Jest 30 września, dziesięć dni od ich wyjścia w góry.



Próbka terenu, z jakim musiała się zmierzyć Barbara schodząc samotnie doliną. Fot. Krzysztof Łoziński.

Analizując te fakty po latach, uważam, że już wtedy sytuacja była tragicznie jasna. Janek i Jacek, mając ze sobą żywność na najwyżej trzy dni i bardzo lekki sprzęt biwakowy, przez dziesięć dni nie zeszli na lodowiec. W końcu września temperatury na wysokości pięciu tysięcy metrów kształtują się na poziomie od - 30 do - 40 stopni Celsjusza. Gdy lecieliśmy z Frankiem do Delhi, czyli w drugiej połowie października, poprosiłem pilota, za pośrednictwem stewardessy, by zwrócił uwagę, przy schodzeniu do lądowania, jaka jest temperatura na pięciu tysiącach. Otrzymałem odpowiedź: - 50 stopni.

Kompletną zagadką pozostaje, gdzie oni poszli, ale gdzie by nie poszli, to gdyby żyli, albo gdyby choć jeden z nich żył, to dawno by dotarł na lodowiec, a nawet do bazy. Jest zupełnie niemożliwe, aby człowiek ranny, bez jedzenia, przetrwał około tygodnia, w dodatku przy tak niskich temperaturach. Zdrowy mógłby przetrwać nawet dłużej, ale zdrowy by dawno zszedł na dół. Do dziś nie wiadomo, co się stało, ale najbardziej prawdopodobne jest to, że obaj spadli w czasie wspinaczki skalnej.

Basia zostawiła w składziku list do chłopców, w którym napisała, że idzie po pomoc, i zaczęła zejście. Na progach znów przeżyła ciężkie chwile. Pierwszy raz w życiu musiała zjechać na linie. Oczywiście teoretycznie wiedziała jak to się robi, ale każdy słuchacz kursu dla początkujących też teoretycznie wie, a mimo to instruktor musi wszystko mu sprawdzić i wręcz wsadzić go w zjazd. Barbarze nie miał kto pomóc. Sama musiała przełamać strach przed wysokością, przed powierzeniem życia linie cienkiej jak ołówek. Aż trudno sobie wyobrazić, jaką próbę dzielności i odwagi musiała przeżyć Barbara. Sama w ogromnych, pustych, mroźnych górach, bardzo daleko od najbliższych ludzi, ze świadomością, że jej mąż niemal na pewno nie żyje.

Dochodząc do bazy przez chwilę miała jeszcze nadzieję, że może się minęli. Może ona poszła do góry, a w tym czasie chłopcy zeszli do bazy. Ale nie, koniec złudzeń. W bazie nie ma żadnych śladów czyjejkolwiek obecności. Każdy przedmiot leży tam, gdzie go zostawiła. Drugiego października zaczyna zejście doliną. Minęło dwanaście dni od ich wyjścia.

Zejście doliną nie jest proste. Do rejonu naszej bazy i mostu są pewne trudności terenowe, ale Barbara przechodziła ten odcinek kilka razy, więc przynajmniej nie błądzi. Dalej jednak zaczynają się problemy. Na odcinku „pionowej ziemi” w pobliżu mostu i na moście nie ma poręczówek. Tragarze, którzy byli z nimi umówieni w tym miejscu, zwinęli liny. Trudno się tym kaszmirskim góralom dziwić. W umówionym miejscu nikogo nie zastali. Nie wiedzieli, że dalej, jeden dzień drogi w górę doliny, Barbara siedzi samotnie w swojej bazie i wyczekuje powrotu chłopców.

Barbara musiała zejść na żywca przez „pionową ziemię”. Pamiętam jaką trudną i delikatną wspinaczkę musiałem odbyć, by ten odcinek zaporęczować. Basia nie miała wyboru. Zaczęła schodzić... i spadła. Spadła około 8-10 metrów i mocno zraniła się w nogę. Jakiś ostry kamień przeciął jej na głęboko udo na przestrzeni kilkunastu centymetrów. To już była sytuacja naprawdę groźna. Barbara miała przed sobą do pokonania wiele kilometrów bardzo skomplikowanego i trudnego terenu. Nawet gdyby nie błądziła, minimum trzy dni drogi. Tak duża rana nie tylko utrudniała marsz, ale i groziła infekcją, a to byłby już koniec. Gdyby Basia przemierzała drogę powrotną w grupie ludzi, to też by jej nic nie groziło, ale samotna dziewczyna, ranna, w trudnym terenie, w lesie pełnym niedźwiedzi, tygrysów i panter... I zapach krwi...

Barbara zachowała się bardzo rozsądnie. Zagotowała wodę, przemyła ranę, zrobiła sobie najlepszy opatrunek, jaki mogła. Niestety rana na pewno nie ułatwiała jej marszu, a zapach krwi mógł zwabić drapieżniki. Doszła do wylotu doliny i zaczęło się błądzenie na wyjściowych graniach. My też w tym rejonie błądziliśmy, ale nas było czterech silnych i zdrowych chłopców. W dodatku ja szedłem tą drogą czwarty raz. Basia przeszła ten szlak tylko raz i to w przeciwnym kierunku. Była od nas słabsza fizycznie, w dodatku ranna i więcej błądziła. Dotarła do dna doliny Sung Lai i tam utknęła na dobre. Nie mogła znaleźć wyjścia na drugą grań. Miała już z tego miejsca tylko pół dnia drogi do Lai, ale

całkowicie zabłądziła. Ósmego października, sześć dni po wyjściu z bazy, została znaleziona przez myśliwych z Lai, którzy natknęli się na nią zupełnie przypadkiem. To był niemal cud.



Wylot doliny Sung Lai, w której utknęła Barbara nie mogąc znaleźć dalszej drogi, widziany z drugiego brzegu rzeki Chenab (ogromna rzeka niosąca prawie połowę wód Indusu. Jej przekroczenie wpraw jest niemożliwe). W tej dolinie znaleźli ją myśliwi z Lai. Dla samotnej dziewczyny musi to być miejsce straszne.

Fot. Krzysztof Łoziński

W Delhi Basia powiedziała mi, że była już zupełnie załamana i „czekała aż umrze”. Myśliwi z Lai zapuszczają się w ten rejon szalenie rzadko, najwyżej raz do roku. Basia miała w tym przypadku wręcz nieprawdopodobne szczęście. Trudno się dziwić, że była załamana. Walczyła samotnie o życie już od osiemnastu dni. Najpierw o życie chłopców, potem już tylko o swoje. Utknęła w Sung Lai, w tym kanionie, w tej skalnej dziurze, gdzie nawet nie dochodzi słońce. Człowiek czuje się w tym miejscu jak pies na dnie studni.

Myśliwi prowadzą Basię do Lai i dalej do Atholi. To jest trochę większa wieś, siedziba jakiegoś lokalnego wójta, niedaleko od Lai. Barbara zostaje nakarmiona i ogólnie zaopiekowana. W Atholi nie ma telefonu. Poślaniec zawiadamia policję w Kisthwar, ta jednak, z niewiadomych powodów, nie przekazuje informacji dalej. Swoją drogą, to czy policja w Kisthwar w ogóle wiedziała, że trzeba zawiadomić ambasadę? Wieśniacy z Lai i Atholi samorzutnie organizują poszukiwanie chłopców. Do doliny udaje się kilka patroli złożonych z myśliwych dobrze znających teren. Nie znajdują niczego. Barbara czeka w Atholi na pomoc, nie spodziewając się, że o wypadku ciągle nikt nie wie. Dopiero po kolejnych ośmiu dniach przylatuje helikopter wysłany na skutek mojej interwencji. Piloci samorzutnie wykonują lot patrolowy nad doliną. Nie znajdują żadnych śladów zaginionych.

Minęło 26 dni od wyjścia chłopców w góry, a dopiero zaczyna się akcja poszukiwawcza. Helikopter znalazł Basię 16 października. Już trzy dni później ląduje w Atholi kolejny helikopter z Parmą, Kaniewskim i Rudzińskim wysłanymi przez ambasadę na poszukiwania. Ich akcja trwa siedem dni.

Według pisemnej relacji Chrystiana Parmy: *„W wyniku akcji spenetrowany został lodowiec, przepatrzono przez lornetę zbocza doliny wokół głównego lodowca oraz widoczne części bocznych lodowczyków, stwierdzono, iż w magazynku sprzętu i żywności (założonym przez zaginionych), usytuowanym u podnóża bariery seraków, znajdował się zestaw sprzętu i żywności zgodny z opisem podanym przez Barbarę Oficjalską, która była tam ostatni raz 30 września (zostawiając list do zaginionych). Nie znaleziono żadnych śladów bytności zaginionych (stwierdzono warstwę 15 centymetrów świeżego śniegu).*

Mur skalny długości 5-7 kilometrów i przewyższeniu do około 2 kilometrów jest bardzo rozczłonkowany, eksponowany, bardzo trudny technicznie, zaś brak śladów i informacji co do zamierzeń zaginionych uniemożliwił poszukującym precyzyjne wytypowanie rejonu poszukiwań.

W wyniku akcji zespół doszedł do wniosku, że poszukiwani nie zeszli z gór na lodowiec, nie dotarli do własnej bazy, ani w głąb doliny Kijai.

Dnia 19 października odbył się 50-minutowy lot patrolowy helikoptera, w którym wzięli udział dwaj piloci, miejscowy przewodnik i Chrystian Parma. Spenetrowano lodowiec z wysokości kilkudziesięciu metrów oraz mur skalny z różnych wysokości (maksymalnie ok. 5800 metrów, a według pilota z około 6300 metrów). Nie znaleziono żadnych śladów zaginionych.

Przed akcją wysłano patrol miejscowych myśliwych (kolejny), którzy weszli w górne piętro doliny, penetrowali otoczenie dolnej części lodowca.”

Jedziemy do Jammu. Ja z Frankiem i oczywiście z psem, oraz Ania Pietraszek samochodem z ambasady. Reszta samolotem. 28 października odbywamy w Jammu naradę. Wszyscy zgodnie stwierdzamy, że w takiej sytuacji nie ma żadnego sensu angażowanie w poszukiwania psa.

Pies nie jest w stanie przejść trawersów grani na drodze do doliny. Trzeba by go przenosić (Bućko waży 35 kilo). Trzeba by też wciągać go na linie przez progi (łącznie ok. 300 metrów). W dolinie pies byłby w dużym niebezpieczeństwie ze względu na dzikie zwierzęta. Skąd ma wychowany w Zakopanem Bućko wiedzieć, jak się zachować wobec tarantuli lub kobry?

Frank uważa, że po opadzie świeżego śniegu nie ma szans, by pies znalazł stare ślady sprzed ponad miesiąca, a według relacji Parmy żadnych nowszych śladów nie ma. Zespół Parmy nie znalazł też żadnych śladów lawin, więc pies lawinowy zupełnie nie ma tu pola do popisu.



Barbara Oficjalska w Tatrach. Fot. Krzysztof Łoziński.



Janek Oficjalski w Tatrach. Fot. Krzysztof Łoziński.

Prowadzimy rozmowy z pilotami. Twierdzą oni, że nie ma możliwości lądowania helikoptera na górnym lodowcu, a nawet w części doliny poniżej progów. Na wysokości lodowca, która według nas wynosi 4200 metrów, a według pilotów i ich przyrządów 4700 metrów, helikopter musi lądować jak samolot, na płozach, bo nie jest w stanie utrzymać się w zawisie dłużej niż kilkanaście sekund. Na nierównej, poszczelinionej i pokrytej głazami powierzchni lodowca jest to niemożliwe. Rozważamy pomysł desantowania się ze śmigłowca. Kłopot jednak w tym, że te helikoptery nie są przystosowane

do ratownictwa. To są maszyny wojskowe. Mają karabiny maszynowe, ale nie mają wciągarki. Przez pół godziny studiujemy z Andrzejem budowę Alouetty, by stwierdzić, że nawet nie da się z niej zjechać na linie, bo nie ma liny do czego przywiązać. Kabinka z pleksi, aluminiowe rurki, plastikowe siedzenia, wszystko w sumie może mocne, ale punktowo wszędzie słabe. Na przywiązanie liny po prostu do silnika piloci nie chcą się zgodzić. Grozi to wplątaniem liny w rotor.



Jacek Szczepański. Fot. Krzysztof Łoziński.

Dyskutujemy inny pomysł. A gdyby tak helikopter wolniutko przeleciał kilka metrów nad lodowcem? Andrzej, Jurek i ja gotowi jesteśmy wyskoczyć, ale i tym razem piloci nie zgadzają się. To zbyt ryzykowne. Jeden przypadkowy podmuch wiatru może skończyć się katastrofą. Mówię, że w Alpach, francuscy piloci, na takich samych Alouettach, robią takie rzeczy. „Alpy są o dwa i pół kilometra niższe, tu są Himalaje” replikuje indyjski pilot.

Nasz pomysł krytykują też inni: „Skakanie z kilku metrów na piargi to wariactwo, połamiecie nogi”. „Wszystko co robimy w górach to wariactwo” odpowiada Jurek. Ale pomysł i tak upada wobec oporu pilotów. Cóż nam zostaje? Lądować w Atholi i zasuwać do doliny na piechotę, czyli tak samo, jak grupa Parmy. Tylko czy to ma w ogóle sens? Jeżeli oni niczego nie znaleźli, to jakie są szanse, że my znajdziemy cokolwiek więcej?

Robimy kolejną naradę. Moja opinia, zapisana w protokole była następująca:

„Druga grupa poszukiwawcza dotarłaby do rejonu, w którym nastąpił wypadek, po 44 dniach od wyjścia zaginionych na wspinaczkę (zaginieni posiadali żywność na 5 dni i niewystarczający sprzęt biwakowy). Rozległość terenu ewentualnych poszukiwań, trudności techniczne i orientacyjne, dają bardzo małe szanse natrafienia na jakikolwiek ślad. Nie ma żadnych szans by poszukiwani żyli do tej pory.”

Opinia Andrzeja Czoka:

„Przypuszczam, że najprawdopodobniej nastąpił wypadek podczas wspinaczki ścianą, w czasie którego poszukiwani ponieśli śmierć i ewentualna dalsza akcja sprowadzałaby się do poszukiwania zwłok.”

Uznajemy, że jest sens przeprowadzenia dodatkowych lotów patrolowych helikoptera, ale nie ma sensu pchania w góry kolejnego zespołu na piechotę.

W czasie zebrania zdarzył się jeszcze pewien incydent. Faksem, z Polski, przysłano nam rysunek wykonany przez sławnego jasnowidza księdza Klimuszkę, do którego zwrócili się o pomoc rodzice Jacka. Wprawiło to nas wszystkich w zakłopotanie. Z jednej strony nikt z nas nie wierzył w jasnowidzów, z drugiej nie mogliśmy tej opinii zignorować. To „jasnowidzenie” było zwykłym bezczelnym oszustwem. Ksiądz jasnowidz po prostu przerysował fragment zdjęcia masywu Arjuny i zaznaczył na nim sylwetki zaginionych połączone liną. Rzecz w tym, że ksiądz jasnowidz nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów gór, które widział na zdjęciu. Jedną sylwetkę narysował na szczycie Tarczy Arjuny, a drugą zatkniętą, jak w szczelinie, w przełęczy między Katedrami (nazwy szczytów nadane przez nas. Te trzy góry oddalone są od siebie o ok. kilometr). Aby to było możliwe, ludzie musieliby mieć po dwieście metrów wzrostu. Do tego dochodził komentarz słowny, że jeden leży w szczelinie, a drugi na wierzchu. Na całe szczęście ksiądz jasnowidz nie twierdził, że chłopcy żyją. Wiele lat później, przez wizję innego jasnowidza, uruchomiono ogromną akcję poszukiwań kilku osób zimą w Tatrach, po czym okazało się, że rzekomi zaginioni spokojnie balangowali na Słowacji, nie wiedząc, że niemal cały TOPR ich szuka po górach. Nasz jasnowidz był przynajmniej na tyle uczciwy, że nie wpuścił nas w podobny kanał.

29 października odbył się ostatni lot patrolowy w ramach akcji. Parę osób latało jeszcze nad tym rejonem później, ale nie miało to już żadnego znaczenia ze względu na czas jaki upłynął od wypadku. W kolejnych latach w dolinie Kijai działało kilka wypraw, w tym dwie polskie. Do dziś nie znaleziono żadnych śladów Janka i Jacka.

Z uczestników akcji w górach pozostali też na zawsze Jurek Kukuczka, Andrzej Czok i Tadek Szulc. Franek Spytek zmarł w Zakopanem we własnym domu.

Ja straciłem pracę trenera, bo spóźniłem się o trzy miesiące z urlopu.

Wracam do Polski i idę oddać paszport. Wówczas nie było paszportu w domu. Trzeba go było oddać po tygodniu. Odbierający paszport SB-ek urzęduje mi przesłuchanie. Nie interesuje go to, że dwóch polskich obywateli straciło życie. Wypytuje, „czy oni na pewno nie żyją”, a czy czasem „nie uciekli gdzieś przez jakąś granicę”.

Rok później dostaję dziwne pismo z MSZ (podobne dostał Polski Związek Alpinizmu). Jest to żądanie bym pokrył koszty lotów helikopterów w tej akcji, bo Indie wystawiły rachunek. Kwota 80 tys. dolarów! Muszę przyznać, że w pierwszej chwili powaga mnie zdjęła. Ja zarabiałem wówczas w Teatrze Wielkim 2 tys. zł co stanowiło 20 dolarów. Spotkałem się z kolegą adwokatem i taternikiem zarazem, Aleksandrem Kiwerskim. Olek natychmiast sprawę obśmiał. Płacić za cokolwiek może tylko ten, kto taką usługę zamawiał.

- Zamawiałeś taką usługę?

- Nie.

- Masz jakiś majątek? Własne mieszkanie, samochód?

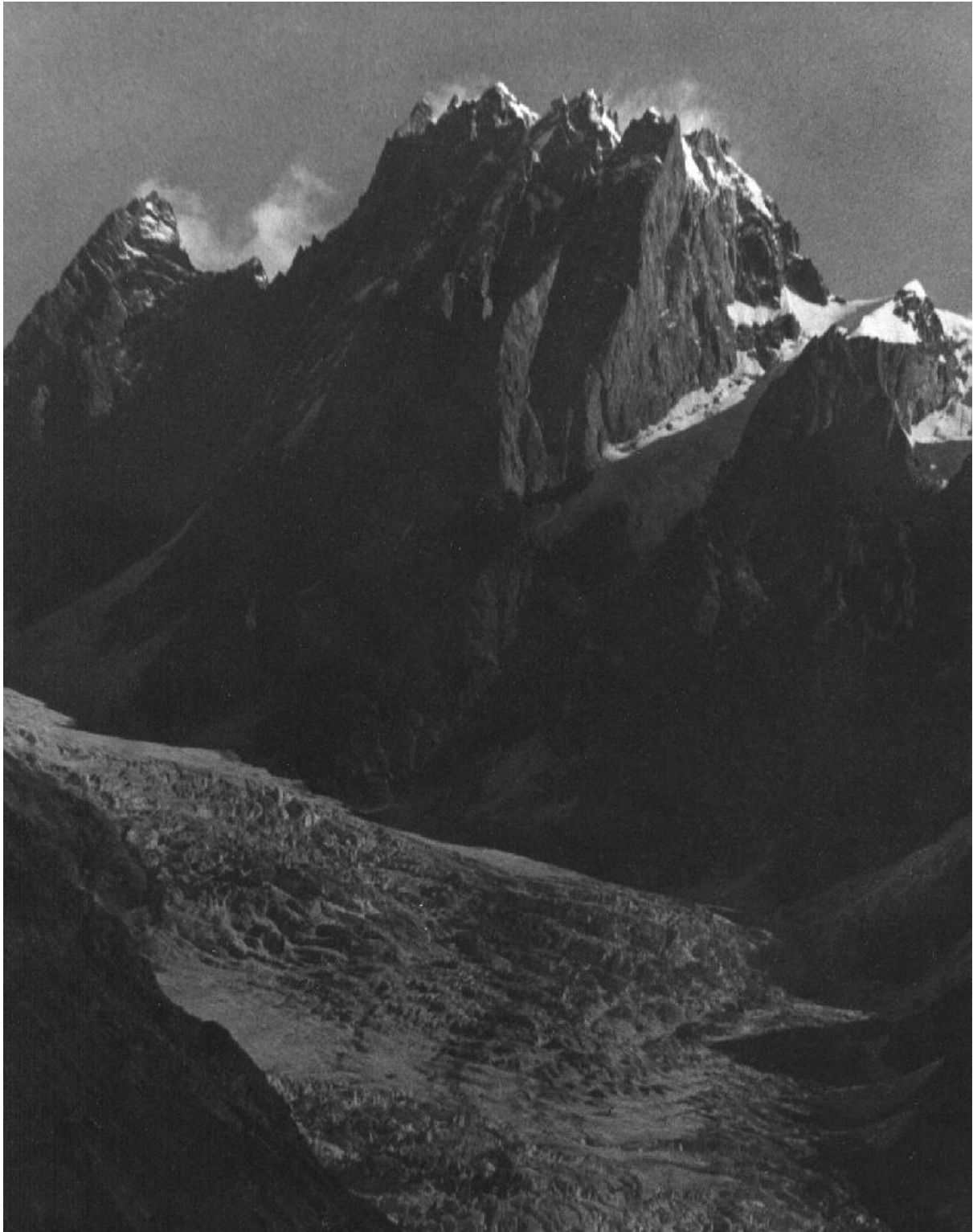
- Nie.

- To czego się boisz? Więzienia za długi nie ma, a w dodatku to nie twój dług, tylko ich. To MSZ zarządził te akcję wbrew opiniom fachowców. No to niech MSZ płaci. A tobie co zajmą? Skarpetki?

Olek zredagował pismo do MSZ dla mnie i PZA, jako kancelaria adwokacka. Zostało bez odpowiedzi. Sprawa zdechła.

Po latach dowiedziałem się, że rachunek indyjski wynosił 8, a nie 80, tysięcy dolarów. MSZ trochę sobie dopisał. Musieli panowie mieć bardzo gładne kieszenie. W tamtym czasie zwykły obywatel nie miał konta w banku. Musiałbym im te pieniądze przynieść w gotówce. A co by z tym zrobili...?

No cóż, ludzie idący na ratunek poświęcają nie tylko swój czas. Nie raz ryzykują nawet życie. Jednak mimo to czasami ktoś próbuje dla jakiś mętnych celów zwałać na nich winę za wypadek albo coś przy okazji ugrać.



Arjuna (6225 m). Marzenie Janka i Jacka. Fot Krzysztof Łoziński.

W akcji ratunkowej w Kaszmirze udział wzięli (alfabetycznie):

Andrzej Czok

Marek Kaniewski

Jerzy Kukuczka

Krzysztof Łoziński

Chrystian Parma

Anna Pietraszek

Stanisław Rudziński

Franciszek Spytek

Tadeusz Szulc

Piloci armii indyjskiej

Myśliwi z Lai.

Oraz:

Jan Wawrowski (konsul PRL w Delhi)

N.C. Kohli (pełnomocnik ministra turystyki rządu stanowego w Kaszmirze).

Ale tak naprawdę, to akcję ratunkową rozpoczęła Barbara Oficjalska samotnie wyruszając na poszukiwanie zaginionych. Wykazała się ogromną odwagą i pokonała trudności, którym nie podołałby nie jeden silny mężczyzna. To ona jest największą bohaterką tej akcji.

Podsumowanie

Na koniec wypadu wyjaśnić jakie błędy zostały popełnione w trzech omawianych tu wypadkach.

W wypadku na Mięguszowieckim, Krzysztofa Dubilisa, nie było błędu żadnego. Po prostu wypadek losowy – urwanie się śnieżnej platformki, która wydawała się solidna.

Wypadek na Kazalnicy. Błędem było wspinanie się jednocześnie dwóch zespołów na tej samej drodze, w dodatku w bardzo kruchym terenie.

Kaszmir. Janek i Jacek popełnili, moim zdaniem, trzy błędy. Niepotrzebne odłączenie się od wyprawy. Nawet jeśli chcieli wspinać się gdzie indziej, to nie musieli izolować się od reszty zespołu. Drugim błędem była zbyt duża pewność siebie, trzeci, najpoważniejszy, to nie zostawianie żadnej informacji, gdzie idą i kiedy planują powrót. Zostawianie takiej informacji jest elementarną zasadą bezpieczeństwa w górach. Może nie zdołalibyśmy ich uratować, ale przynajmniej i my i Barbara, wiedzielibyśmy, gdzie szukać.

W teście używam nazwy GOPR, bo dzisiejszy TOPR do 1990 roku nazywał się Grupa Tatrzańska GOPR.